

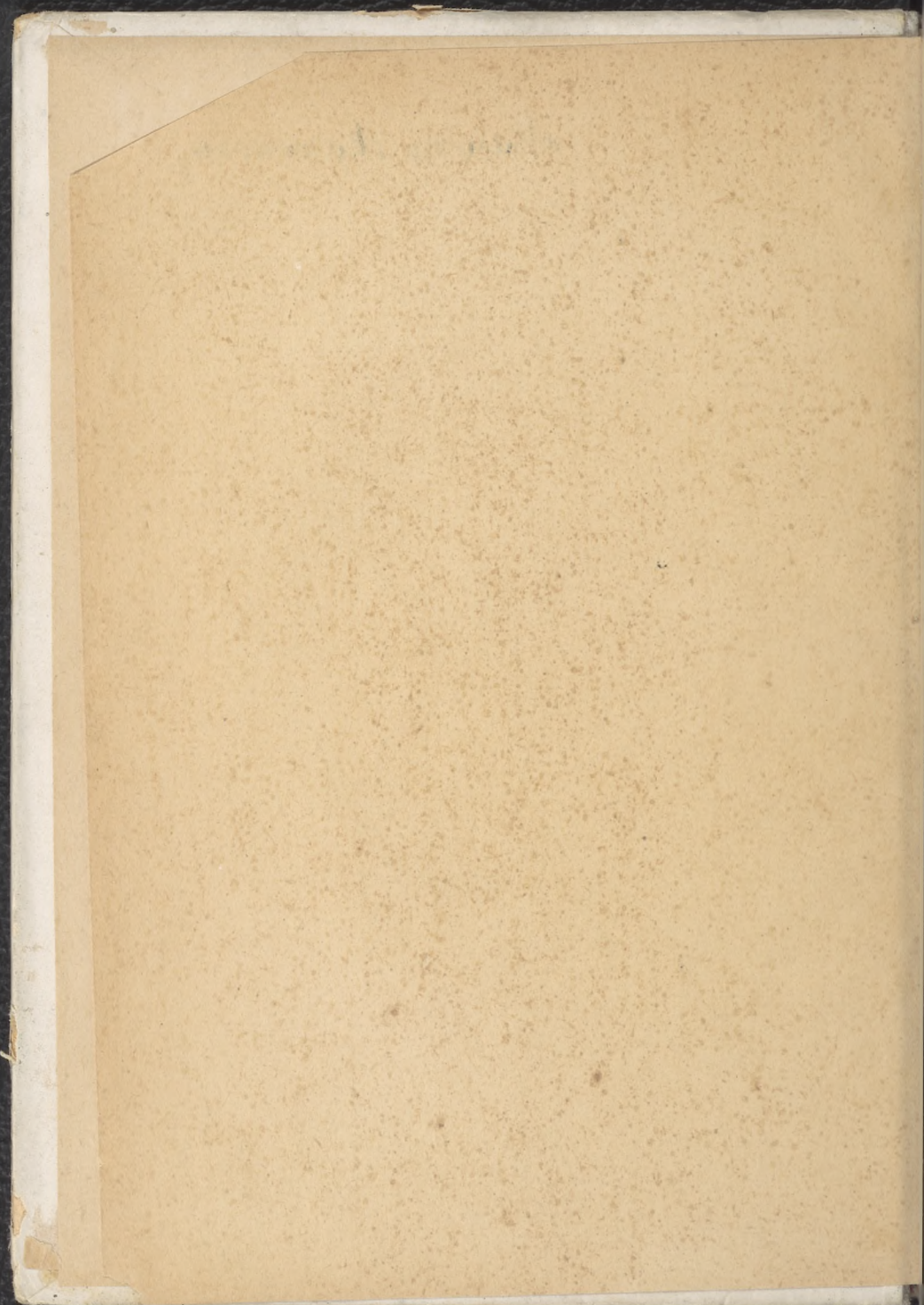


ANIELKA PRACUJE

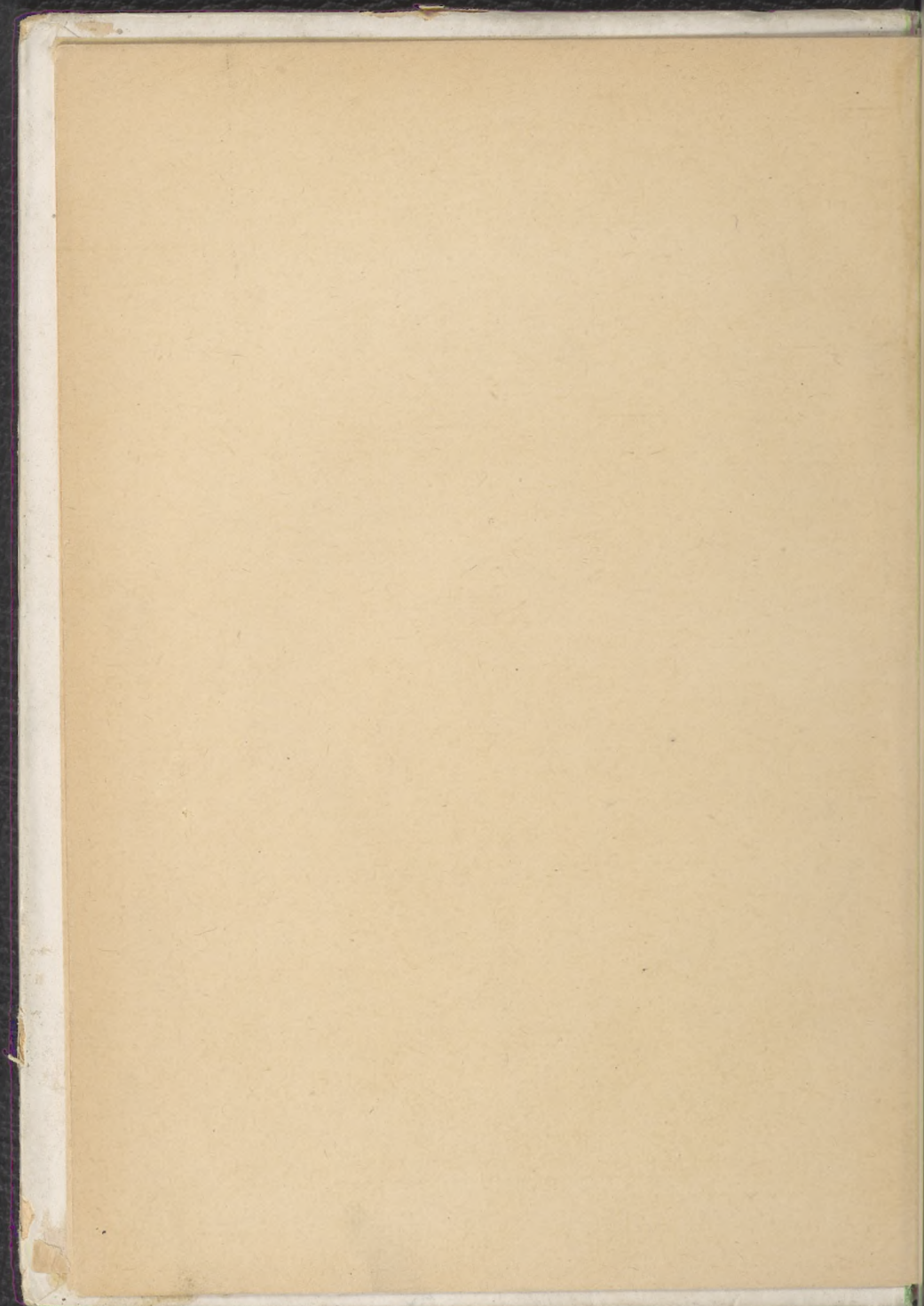
I 1.472.582

Marylki Makowskiej

4/20



ANIELKA PRACUJE





BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA

opr. JANINA ZAWISZA-KRÁSUCKA

ANIELKA
PRACUJE

Powieść dla dorastających pańienek

W A R S Z A W A — 1 9 3 4



I 1.472.582



Druk „Rekord”, ul. Zamienhota 18, tel. 11-37-361

2000 k 1593/1

Słowo wstępne.

Więc mam wam dalej opowiadać o Anielce, drogie dzieci? Siadajcie wszystkie przy mnie. Wyobraźcie sobie, że tak dużo mam do opowiadania o niej, iż dzisiaj nie zdążę chyba opowiedzieć wam o jej przeżyciach na szerokim świecie. Przedtem muszę pozbierać i poukładać moje wiadomości. Przecież w pierwszej książeczce przeskoczyłam okres kilkoletni i ominęłam wiele przygód naszej przyjaciółki. Czyście to zauważyły? Przypuszczam, że właśnie ten opuszczony okres będzie was najbardziej interesował. Anielka po ukończeniu szkoły nie zaraz wyjechała na szeroki świat. Przy końcu pierwszej książeczki zaznaczyłam przecież, że „kilka lat upłynęło“. Właśnie podczas owych kilku lat Anielka dużo przeżyła w swej rodzinnej wiosce i uważam, że o tych przeżyciach muszę wam koniecznie opowiedzieć, bo inaczej nie zrozumiałybyście dalszych jej losów.

Zatem słuchajcie :

Pamiętny dzień.

Anielka ze swemś wiadectwem odbycia egzaminów biegła przez wieś, śmiejąc się i wołając:

— Mamusiu, już po wszystkim! Jeszcze tylko we wtorek i czwartek rano muszę iść do szkoły. Teraz jestem już dorosła! Ach, mamusiu!

Za domem gwizdał cichutko wiosenny wiatr, strącając z drzew białe płatki kwiatów, które wirowały i tańczyły w powietrzu.

— Ach, mamusiu!

Parobek Styków odwrócił się zdziwiony, bo właśnie przyszedł do zagrody Lipków po grabie. Słyszając wołanie Anielki, wysunął głowę przez uchylone drzwi warsztatu. Anielka już go też dostrzegła.

— Wojteczku! Wojteczku! — zawołała, podbiegając doń. — Już nie będę chodziła do szkoły! Dzisiaj popołudniu pójdę do przędzalni z Kubą Brzózków i Basią Wojciecha Matysiaka. Prosto nie mogę się doczekać!

— Tak, tak, nic dziwnego, że się cieszysz, — uśmiechnął się Wojtek. — Ale teraz trzeba będzie

skończyć z chodzeniem po linie i łapaniem ryb w kanale!

Anielka spojrzała nań swemi wielkimi błękitnymi oczami z niemem zapytaniem. O tem właściwie nie pomyślała jeszcze. Przecież wieczorem, po pracy będzie dość czasu na zabawę. Przecież dorośli także się bawią!

Wogóle... Anielka zaśmiała się cicho. Wiedziała już teraz, dlaczego się tak bardzo raduje, ale chciała to i Wojtkowi wytłumaczyć. Nikt nie miał o tem pojęcia, nawet matka. O, w ciągu iluż to lat zazdrościła Anielka Jakóbowi Brzózce, gdy widziała go idącego do fabryki! Zawsze z jednej kieszeni sterczała mu butelka z mlekiem, a z drugiej potężna kromka chleba. Codziennie Anielka widziała ten chleb sterczący z kieszeni i codziennie zazdrość jej wzrastała. Najbardziej zazdrościła Jakóbowi właśnie tej potężnej kromki chleba. Nie dlatego, żeby była łakoma, czy głodna, ale poprostu dlatego, że taka kromka chleba, stercząca z kieszeni była dla niej oznaką, że Jakób należy już do ludzi dorosłych. Taką kromkę chleba mieli tylko ci ludzie, którzy pracowali w fabryce! Tak, tak! Gdy przed dwoma laty Jakób Brzózka po raz pierwszy szedł do fabryki ze swym ojcem, Anielkę poprostu olśnił widok chłopca. Tego dnia właśnie uczyniła mocne postanowienie, że i ona kiedyś będzie pracować. I dlatego tak się cieszyła na samą myśl o fabryce! Tylko dlatego! „Będiesz musiała także pracować“, powiedziała jej kiedyś matka. Wówczas w oczach Anielki pojawiły się

błyski radości. Poprostu nie mogła się tego dnia doczekać!

I wreszcie nadszedł! Teraz! Dzisiaj popołudniu dostanie kromkę chleba, taką dużą, jak dostawał codziennie Jakób Brzózka. Anielka poczęła tańczyć razem z białymi płatkami kwiatów, wirującymi na wietrze. A potem zawołała nagle:

— Muszę już iść, Wojteczku, i przygotować się. Wieczorem do was wpadnę. Dowidzenia!

— Niech cię Bóg prowadzi, Anielciu,—brzmiała odpowiedź Wojtka.

Wsparł się nawet na grabiach i spoglądał za dziewczynką, jak biegła w swej krótkiej sukience, z rozwianymi lokami, jak podskakiwała, uszczęśliwiona.

Wojtek pokiwał głową boleśnie i począł napychać w zamyśleniu fajkę. Było mu dziwnie żal Anielki, chociaż nie potrafiłby wytłumaczyć dlaczego. Wspomnienia własnego dzieciństwa nieoczekiwanie go nawiedziły... O, jemu było wówczas o wiele gorzej! Był najemnym chłopcem, wyzyskiwanym i zahukanym, nigdy nie mógł chodzić do szkoły, Broń Boże! Ba, żeby to mógł się uczyć! Napewno byłby teraz panem całą gębą. Napewno swoje arcydzieła robiłby jeszcze piękniej! Wojtek zaśmiał się w duchu. W maleńkim warsztacie przy stodole miał znowu cały zapas gotowych pudełek, które heblował i oklejał kolorowym papierem. W izbie dwa zegary wisiaty na ścianie do naprawy. Byli to jedyni jego przyjaciele. A później dzieci! Szczególnie wesoła, roztrzepana Anielka. Gdy uśmiechała się do niego, Wojtkowi zdawało się, że słońce

mu zagląda do duszy. Może właśnie z tego powodu tak mu jej teraz żal było. Mocnem uderzeniem przewrócił na ziemię grabie. Później wyjął z kieszeni spodni kawałek świeżo upieczonego chleba. Żona Tomasza mu go dała. U gospodarza Styka dawano Wojtkowi o wiele mniejsze kromki.

Wojtek zjadł chleb z apetytem i wsłuchał się w ciszę panującą dookoła. Potem wziął kosę z ta-
czek i zaczął ją ostrzyć.

Teraz.

Mając z jednej strony zamysłonego Jakóba Brzózkę, z drugiej Basię, córkę Wojciecha Matysiaka, kroczyła Anielka do fabryki z wielką kromką chleba w kieszeni.

— Pójdiesz do mojego majstra, — uświadamiała ją Basia. — Srogi jest. Przy nim nawet przez okno wyglądać nie można i... Ale musisz włosy jakoś związać, Anielciu! Z takimi włosami nie wolno ci wejść do fabryki. W zeszłym roku Kacprowi maszyna rękę ucięła!

Anielka sięgnęła ręką do swych loków i spojrzała na Basię, nie mówiąc ani słowa.

— Przydałaby się jakaś wstążka, — mówiła Basia dalej, — poszukamy w kieszeniach, może się coś znajdzie.

Anielka ostrożnie wyjęła z kieszeni swą potężną kromkę chleba i uśmiechnęła się do Jakóba Brzózki:

— Masz też taką dużą? Pokaż! Moja jest grubsza!

Wolniutko przełożyła chleb do prawej kieszeni. W drugiej muszą być jakieś szmatki i kawałek kolorowego jedwabiu od Elżuni sklepikarza Anielka otworzyła oczy ze zdziwieniem. Acha! Matka musiała wyprzątnąć kieszenie, zanim jej chleb włożyła. Na samym dnie leżała tylko wykrochmalona czysta chustka do nosa. Szkoda tego jedwabiu!

— Mam tu kawałek sznurka! — usłyszała nagle Anielka głos Basi.—To też będzie dobre. Uklęknij, Anielciu, a ja ci zrobię warkocz!

Jakób Brzózka wsunął ręce w kieszenie spodni i począł trząść się ze śmiechu. Niesforne loki Anielki wymykały się z pod szpagatu, zwijając się napowrót w pierścienie i w żaden sposób nie można ich było ułożyć.

— Masz dzikie włosy, — westchnęła Basia. — Spójrz, u mnie wszystkie leżą porządnie! Babcia nasmarowała mi je jeszcze masłem. I tobie by się to przydało. Ale musimy już iść.

Jakób Brzózka przez całą drogę nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Warkoczyk Anielki sterczał w górę i pochylał się to w jedną, to w drugą stronę w miarę jej ruchów. Chyba żadna dziewczyna w fabryce nie miała takiej fryzury. Dopiero otworzą oczy!

— Wiesz co, jak się pilnie pracuje, to nasz majster nie jest taki zły, — uspokajała Anielkę Basia. — Pozatem zarabia się przecież sześćdziesiąt groszy dziennie. Ja od dzisiaj będę dostawała sześćdziesiąt pięć. Jestem już nakładaczką.

Czyż to sen? Anielka Lipkówna będzie też kiedyś nakładaczką w przedzalni! Naprawdę tuż

przy niej idą Basia i Jakób Brzózka, a z jej własnej kieszeni, z kieszeni dorosłej Anielki sterczy ogromna kromka chleba. To jednak prawda! Serce trzepocze się w piersi i radośnie bije, oczęta płoną z uciechy, spoglądając dokoła wesoło. Widzą wiosnę, jakby dotychczas jej nigdy nie widziały. Całkiem blisko, tu na drodze uśmiechają się do Anielki różnowabarwne kwiaty. Jak pięknie! Czy nie mogłaby tak zerwać kilka?

Anielka przystanąła nagle.

— Co się stało?—spytała Basia.—Spójrz, tam już widać fabrykę. Tam!

Między stosami ułożonego drzewa ujrzały istotnie biały fabryczny budynek o niezliczonej ilości okien.

— Na drugim piętrze pracujemy, — rzekła Basia. — Gieńka Hieronima Szczypiora też pracuje w naszej sali. Czy ona wie, że ty przyjdiesz? Jakób jest na pierwszym piętrze, gdzie się bawełnę czyści i czesze. Prawda?

Jakób Brzózka skinął głową z powagą.

— Najważniejsza robota jest przy nawijaniu na szpulki!

Wciąż bliżej i bliżej widać było białą fabrykę. Teraz stanęły już dzieci przed ogromną ciężką bramą żelazną. Pod Anielką zadrżały nogi.

— Chodź, — rzekła Basia, — nie powinnaś się lękać.

Tuż za nią i za Jakóbem Brzózką weszła Anielka po raz pierwszy na dziedziniec fabryczny.

— To jest dom państwa, — wyjaśnił Jakób

z szacunkiem, wskazując piękny murowany budynek w głębi.—Patrz, źródło. Ciągle tryska!

Anielka widziała tylko ponure drzwi fabryczne. Dzieci i dorośli tłoczyli się tam, gawędząc i śmiejąc się. Prawie ze wszystkich kieszeni sterczały kromki chleba. Anielka sięgnęła do swojej kromki. Była jeszcze grubsza, niż kromka Jakóba Brzózki! Anielka codziennie dostanie taką nową kromkę, jedną, drugą... jedną rano, drugą popołudniu! Czy można sobie wymarzyć coś lepszego? W oczach Anielki zabłysła radość. Zaśmiała się. O, jakże chętnie idzie do fabryki! Nicby jej większej przyjemności nie sprawiło. Niby na wspaniałą ucztę, kroczyła Anielka wesoło wraz z innymi mrocznymi korytarzami, a potem na nieskończenie długie drewniane schody w górę.

Zdumienie Anielki.

Znałażła się w samym środku obszernej fabrycznej sali, w której było mnóstwo zamkniętych okien. Maszyny warczały. Szpulki tańczyły. Bawełniane nici ciągnęły się w nieskończoność. Rozpędowe koła huczały. Szerokie brunatne pasy przesuwaly się od podłogi do sufitu. A wśród tego huku, warkotu i szumu uwijały się dzieci i dorośli. Ze skrzyneczką pełną bawełny przeszedł Jakób Brzózka obok Anielki. Uśmiechnął się i coś powiedział. Anielka nie rozumiała. Z pałającymi policzkami stała wśród tego warkotu, patrzyła i ogarniało ją zdumienie. Majstrzy, niby królowie, siedzieli na wysokich stolkach, pochyleni nad dźwigniami, panujący nad ludźmi przy maszynach. Z otwartem ustami przyglądała się Anielka swemu majstrowi. Tylko na samym środku łysej głowy sterczała mu kępka włosów do góry, ale na samiutkim środku. Twarz miał żółtą, maleńką i pomarszczoną, jak pomarszczone były jabłka Anielki zeszłej jesieni. Trzeba je było powiesić na powietrzu, przebiegło

Anielce przez głowę i nagle przeraziła się. Woskowy człowieczek podniósł powieki, jakby jej myśli dokładnie zrozumiał. Anielka zarumieniła się z zawstyżeniem i przysunęła się pośpiesznie do Basi.

— Patrz, teraz trzeba puścić, — tłumaczyła Basia, stojąc przy maszynie.

Basia poprostu niknęła co chwilę pod lawinę nici, które wypadły z wielkiej szpuli. Podniosła maleńki zielony aksamitny walec, pośliniła palce i zaczęła zdejmować bawełniane nici. Zawiesiła je na następnym walcu, znowu pośliniła palce i oczyściła aksamit. Anielka nagle wydała okrzyk przerażenia:

— Baśka! Baśka!

W następnej chwili znów lawina nici spadła na Basię. Szeroki, ciężki wagonik maszyny pośpiesznie odjechał. Basia zaśmiała się pobłażliwie:

— Przyzwyczaiłam się już do tego. Ale ty musisz z początku bardzo uważać, Anielciu. Ten wagonik mógłby cię przygnieść.

Raz i drugi Basia zniknęła pod lawiną pajęczych nitek, śliniła palce, czyściła aksamit, szeptała coś i śmiała się. Anielka spoglądała na nią z biciem serca. Tymczasem nici opadały w dużych lokach, przeobrażały się w maleńkie śnieżne rurczki, przechodziły między aksamitnymi walcami, które Basia ciągle musiała czyścić. Potem walce były znowu wolne, czyste i piękne. Anielka uspokajała się z każdą chwilą. Ale przecież po sekundzie wagonik znów wracał. Kółka jego obracały się i wciągały do wnętrza wagonika długie bawełniane nici. Anielka poczęła się temu wszystkiemu przy-

glądać z wesołością. Nitki tańczyły, wirowały, dookoła, dookoła i znów wracały. Spoglądając na to wszystko, Anielka poprostu zapomniała, że znajduje się w fabryce. Nagle usłyszała jakiś głos za plecami.

— He, he, nie widzisz, że pusta szpulka się obraca!

Jasne oczy majstra stały się nagle szmaragdowe, niby świeża zielona trawa, a nos jego pochylił się nadół, jak dziób rozniewanego ptaka. Anielka ocknęła się i bojaźliwie przysunęła się do Basi. Przez cały tydzień będzie musiała spełniać tę pracę. Basia była nakładaczką i musiała portargane nici wrzucać do wagonika.

— Nie wolno nam o niczem innem myśleć, — ostrzegła surowo Anielkę, — bo mogłoby się stać nieszczęście, słyszysz?

W pierwszej chwili Anielka bardzo się tem przejęła, ale potem przypomniała sobie swój chleb w kieszeni. Jak będzie przerwa, usiądzie sobie w jakimś kącie i spokojnie zje śniadanie. Przecież przez cały rok cieszyła się myślą o takiej dużej kromce chleba! Cały, długi rok! Cierpliwie czekała teraz na przerwę. Nagle dostrzegła, jak Basia sięgnęła do kieszeni, ułamała kawałek chleba i włożyła go do ust. Nie odrywała się jednak ani na chwilę od maszyny.

— Ja wolę zaczekać do przerwy, — rzekła Anielka.

Basia zaśmiała się wesoło.

— Myślisz, że dla naszego śniadania maszyna

ny zatrzymują? Przecież my żadnej przerwy nie mamy, nie jesteśmy już w szkole!

Z oczu Anielki znikł dotychczasowy błysk radości.

— Możesz jeść podczas pracy, — zapewniła ją Basia. — Patrz, inni też to robią.

Anielka przerażona obejrzała się. Prawda, dookoła dzieci jadły z apetytem chleb przyniesiony z domu. Jakób Brzózka wyjął nawet swą butelkę z mlekiem, przyłożył ją do ust i pociągnął śpiesznie jeden łyk. Anielka ułamała kawałek chleba i poczęła go jeść chciwie. Szkoda, że niema przerwy! Szkoda! Za każdym kęsem chleb wydawał się Anielce smaczniejszy. A przecież ciągle kromka się jeszcze nie kończyła! Jeszcze ciągle zostawał kawałek! Żeby tak nie było tych bawelnianych nici i żeby ręce nie miały smaku oliwy! Ale Anielka już się też nauczyła czyścić walce. O tem wszystkim opowie wieczorem Wojtkowi. Z pewnością Wojtek nie uwierzy. Czy już prędko będzie można pójść do domu?

Anielka jadła i jadła swój chleb, z trudem go przelykając. Jutro znowu dostanie taką wielką kromkę! Jutro znowu! Słoneczne błyski zapaliły się w oczach dziewczynki i spowiły wszystko dookoła jasnym blaskiem. Nawet długie godziny, które trzeba było przetrwać w fabryce, nie zdołały przygasić tych błysków. Tylko maszyny warkotały wciąż sucho i głośno. Koła rozpędowe tak dziko huczały. Anielka z tęsknotą myślała o powrocie do domu.

Gdy zegar dozorczy wskazał wreszcie godzinę

ósmą, żelazne ramiona maszyn przestały się poruszać. Szpulki przestały wirować. Koła zapadły w głęboki sen. Robotnicy i robotnice wielkiej bawełnianej przędzalni wylegli na dziedziniec. Anielka odetchnęła głęboko. Rozejrzała się dokoła, jakby już dawno, bardzo dawno nie widziała drzew, trawy i kwiatów.

— Patrzcie, Anielka Lipkówna też już chodzi do fabryki! — usłyszała za sobą zdziwiony głos jakiejś dziewczyny.

Uśmiechnęła się z zadowoleniem. Tak, ona też już chodzi do fabryki i nawet zarabia! Pobiegła szybko przed siebie, jakby miała skrzydła u ramion, pobiegła przez łąki pełne kwiatów i woni, najkrótszą drogą do domu.

Wczesnym rankiem.

Anielka śniła o łące pełnej pierwiosnków. Takich pięknych, takich złocistych pierwiosnków nigdy jeszcze w swoim życiu nie widziała. Ale co to wszystko znaczy? Co chwilę ktoś trącał ją w ramię, jakby chciał jej coś powiedzieć. Teraz znowu! Z zaciekawieniem otworzyła oczy. O, Boże, zniknęły cudne pierwiosnki! Przy łóżku Anielki stała matka, szepcząc:

— Wstawaj, już piąta!

Ach, musi przecież iść do fabryki! Jezus Marja! Ociężałe opadły jej powieki i zaraz po chwili znalazła się już na białym pięknym koniu.

— Anielciu! Anielciu! — usłyszała znowu głos matki. — Wstawaj! Już najwyższa pora!

Anielka przeciągnęła się, otworzyła oczy i poczęła szukać po izbie czegoś, coby ją uradować mogło, coby jej kazało wstać... Znalazła. Dostrzegła na stole dużą kromkę chleba, już przygotowaną. Teraz była znowu sobą! Teraz z ochotą wstanie! Jeszcze półsenna poczęła się ubierać.

W sąsiedniej izbie Amelka i Milusia siedziały już przy stole, pijąc z fajansowych kubków dymiącą kawę. Matka już wieczorem kawę gotowała i na noc wstawiała ją zawsze do piecyka.

— Nie będziemy czekać na ciebie, jak się tak guzdrzesz, — ostrzegały siostry Anielkę.

Zdażyła jednak razem z niemi wyjść z domu. Z kieszeni sterczał jej świeżutki biały chleb. Zjawił się również Jakób Brzózka z zaspaną twarzą. Na kupie nawozu w zagrodzie Styków stał biały kogut i piał.

— Wiesz, Anielciu, znalazłam fiołek pod tamtem drzewem, — chwaliła się Gieńka Hieronima Szczypiora. — Jeszcze zupełnie jest mokry od rosy.

Anielka spojrzała na błękitne płatki trzymanego przez Gieńkę kwiatka i wytrzeźwiała zupełnie.

— Jaki śliczny! Gdzieś go znalazła?

Na wieży kościelnej zegar wybił pół do szóstej.

— Wczesnie idziemy! — dziwiła się Anielka. — Nasz zegar w domu widocznie się śpieszy. — I rozejrzała się dokoła, chcąc przeniknąć wzrokiem gęstą mgłę, która wisiała nad doliną, poczem wystawiwszy twarzyczkę na poranny wiatr, poczęła iść szybciej i weselej. Widocznie niesforne loki uradowały się również dobrym humorem Anielki, bo poczęły wymykać się z pod wstążki i igrać na wietrze. Nim się Anielka spostrzegła, tańczyły już i wirowały nad jej czołem. Coraz cieńszy był z trudem spleciony warkoczek, aż wreszcie Jakób Brzózka ściągnął z ostatniego loczka wstążkę i począł się śmiać.

— Gdzie jest twój warkocz, co?

Anielka najprzód przeraziła się, lecz potem także śmiać się zaczęła, potrząsając głową pełną niesfornych loków.

— Goń mnie! — zawołała do Jakóba. — Goń mnie! Nie mam zamiaru pleść na nowo warkocza. I tak nic nie pomoże. Wszystko mi jedno.

Pobiegła pędem przez łąkę, a za nią biegł Jakób. Od czasu, gdy Anielka chodziła do fabryki, w drodze było o wiele weselej i jakoś nie męczyła dzieci zupełnie. Uszli już spory kawał, gdy nagle Anielka zawołała:

— Gaduła! Gaduła! Tam idzie! Idzie naszą drogą! O, Gaduła!

Jakby pod wpływem czarodziejskiej różdżki, dzieciarnia nabrała humoru. Nawet dorośli, idący tą samą drogą, przystanęli na chwilę. Sen pierzchnął z powiek wszystkich.

— Już wiem teraz, spał dzisiaj w stodole Gawryłów! — rzekł Hilary Młotek. — O, Gaduła!

Wysoki i chudy, o zwisających w nieładzie włosach, w bluzie woźnicy, kroczył dumnie Gaduła piaszczystą polną drogą. Śmiał się! Miał szeroko rozwarte oczy i strzelał ochoczo ze starego, połamanego bata.

— Wiecha! Wišta! Wio! — wołał, jakby siedział na platformie, napełnionej towarem i śpiesznie jechał do miasta.

Prawdopodobnie w swoim życiu niejednokrotnie musiał się śpieszyć, chociaż nikt z tutejszych mieszkańców nie pamiętał tego czasu, kiedy Gaduła był jeszcze woźnicą. Widocznie jednak zajmował się tem kiedyś, bo w dzień i w nocy ma-

rzył o koniach. Dlaczego tak ciągle śmiał się, poganiał swe szkapy i krzyczał? Zawsze go widziano wesołego, chociaż nieczęsto zjawiał się w dolinie.

— Dzień dobry, Gaduło! — powitał go wesoło Jakób Brzózka.

— Dzień dobry, Gaduło! — podchwyciła dzieciarnia. — Ile koni zaprzęgliście dzisiaj do wozu?

— Cztery!

— Co, tylko cztery?

— Bo właśnie dwa sprzedałem, — zaśmiał się Gaduła. — Sprzedałem moje koniki gospodarzowi z oberży „pod Niedźwiedziem“. Ale znów mam sześć. Ha, ha, ha! Jest przecież sześć! Sześć! Wiecha! Wišta! Wio — Gaduła cmoknął językiem i zawołał jeszcze głośniej: — Wiecha! Wišta! Wio! — a dzieci ochoczo biegły po obydwu jego stronach.

— Gaduła! Hej, Gaduła, która godzina? — indagował Jakób Brzózka.

— Musimy wiedzieć, żeby się nie spóźnić do fabryki, — dorzuciła Basia, trącając Anielkę.

Wszystkim dzieciom aż oddech zaparło w piersiach, gdy Gaduła wyciągnął z kieszeni stary, zarzewiały nóż, zwisający na grubym srebrnym łańcuchu.

— Już kwadrans! — rzekł z powagą, jeszcze szerzej otworzył oczy, strzelił z bata i zawołał: — Wiecha! Wišta! Wio!

Zaledwie zdążył to wypowiedzieć, gdy odezwał się stary zegar na wieży kościelnej, wybijając uroczyście szóstą poranną godzinę.

Dzieci ogarnęło przerażenie. Fabryka!

— Dowidzenia, Gadulo! Ach! Ach! Spóźni-
my się!

Niby spłoszone ptaszęta, dzieciaki poszybo-
wały przez łąkę.

— Zegar fabryczny spóźnia się o pięć mi-
nut, — wyszeptwała zadyszana Basia. — Zobaczycie,
że przyjdziemy w samą porę. Możemy iść wolniej.

Istotnie, miała słuszość. Przed bramą stali
jeszcze ostatni maruderzy, którzy ze zdziwieniem
poczęli się przyglądać Anielce. Czyż z takimi wło-
sami chciała wejść do fabryki?

— Ach, twoje włosy! — zawołała nagle Ba-
sia, a Jakób Brzózka zaśmiał się głośno.

W dzikim, zawrotnym tańcu wirowały loki
Anielki dookoła czoła. Nie, czegoś podobnego je-
szcze nikt w fabryce nie widział. Anielka przełęka
się. Co robić? Wejść w tej fryzurze? Nie wolno!...

Zbliżyła się do niej blada, szczupła dziew-
czynka.

— Nazywam się Magdzia, — rzekła. — Mogę
ci pożyczyć na dzisiaj swój grzebyk. Moje włosy
łatwo związać wstążką. Weź go, proszę!

Anielka nie miała czasu zdziwić się, ani też
zastanowić.

— Dziękuję serdecznie, — wyszeptwała, wzięła
grzebień i dostrzegła, że szare oczy, iskrzące się
w bladej twarzyczce dziewczynki zabłysły radością.
Radość ta udzieliła się również Anielce.

— Pracujemy w jednej sali, — szepotała Magdzia,
gdy wspinały się po schodach. — Już nieraz cię
widziałam.

Potem rozległ się rozzierający ciszę głośny gwizd syreny, zagłuszający dalsze słowa. Dzieci śpieszyły na swe miejsca do sali fabrycznej.

Magdzia

Maszyny warczały. Anielka pochyliła się nad swemi walcami. Czyściła je i uważała na szpulki, aby nie obracały się napróżno, od czasu do czasu jednak zerkąła w stronę Magdzi. Magdzia pracowała o trzy maszyny dalej, była również nakładaczką, jak Basia. Pracowała u bardzo niedobrego majstra. Nie pozwalał dzieciom odpocząć ani na chwilę, a przez cały dzień tylko wymyślał, naganiając swych małych robotników do pracy. Dzięki temu wieczorem mógł zdać największą ilość szpułek i dlatego zarabiał więcej, niż inni majstrowie. Magdzia odczuwała przed nim lęk. Ustawicznie się śpieszyła. Przychodziła do fabryki również boso. Zresztą prawie wszystkie dzieci, pracujące w sali, nie nosiły bucików.

— Ach, jak boli! — jęczała Basia od czasu do czasu.

— Co ci się stało? — zapytała Anielka, gdy Basia przez chwilę stała tuż przy niej.

— Drzazga mi weszła wczoraj w piętę i nie

można jej było wyjąć. Oj! — Basia zagryzła wargi, podnosząc nogę do góry.

Anielka spojrzała na zaplamioną oliwą podłogę. I ją wczoraj wieczorem strasznie bolały nogi. Pokaleczone były od ciągłego stania na nierównej drewnianej podłodze! Mimo to jednak, podczas powrotnej drogi przez las zapomniała zupełnie o bólu. Czy dzisiaj ptaszki taksamo pięknie śpiewają? Czy słońce taksamo świeci? Wzrok Anielki powędrował w stronę okien, błędząc od jednego do drugiego. Nic przez te szyby nie widać, są strasznie zakurzone. Czyż nikt z robotników nie pragnąłby wyrzeć przez okno? Wszystkie okna były szczelnie zamknięte. Dlaczego sali nigdy się nie przewietrza? Oczy Anielki zawisły pytająco na przeciwległej ścianie. Nagle usłyszała tuż za sobą głos majstra:

— Cóżto, liczysz muchy na ścianie! I naturalnie dlatego puste szpulki się obracają! Ale ciebie to nie obchodzi!

— Czy... nie możnaby okna otworzyć? — wyjąkała Anielka przerażona.

— Żebyście jeszcze mniej pracowali! — majster Anielki miał teraz twarz jeszcze bardziej żółtą. — Tego tylko brakowało! Patrzcie państwo! Nie, okna są zabite gwoździami, dzięki Bogu! Nie wolno ich otwierać!... Znowu pusta szpulka się obraca! — Majster zzieleniał ze złości. Usiadł na swoim miejscu, a po chwili znowu się podniósł. Sięgnął po splątane nici i przycisnął mocno dźwignię,

Anielka skryła się za swą maszyną, śliniąc wciąż językiem cuchnące oliwą palce. Pośpiesznie

czyściła aksamit walców i odpychała ciężki wagonik, jeżdżący tam i napowrót. Całe szczęście, że szpulki były pełne.

Zaciekawiony promień słoneczny spoczął na chwilę na jej główce. Anielka powitała ów promień, jak serdecznego przyjaciela. Więc okien nie można otworzyć! Nigdy się ich nie otwiera!

Anielka sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła z niej lekliwie kawałek chleba. Ach, żeby nie ta oliwa! Cuchnęły nią ręce i ubranie, poprostu tego zapachu nie można się było pozbyć.

— Nie znoszę zapachu oliwy, — szepnęła Anielka do Basi.

Tamta wzruszyła ramionami.

— Ja już się przyzwyczałam, — odparła i odwróciła się pośpiesznie.

Z piersi Anielki dobył się nagle okrzyk przerażenia, a chleb wypadł jej z ręki.

Przy trzeciej maszynie, w głębi leżała na podłodze Magdzia, blada, jak śmierć. Silna dziewczynka, pracująca z nią razem, usunęła pośpiesznie zemdloną z pod pędzącego wagonika. Do oczu Anielki nabiegły łzy. Chciała już biec do Magdzi.

— Nie ruszać się z miejsca! — zawołał majster. — To zaraz przejdzie!

— Ona tylko zemdląła, — szepnęła Basia. — Już nieraz to się zdarzało.

Dwie dziewczynki wyniosły Magdzię na powietrze. Wkrótce wróciła uśmiechnięta i zabrała się znowu do czyszczenia walców. Jaką sympatyczną twarzyczkę miała Magdzia! Anielka kochała ją już całym sercem.

Nie mogła się doczekać chwili, kiedy zegar wybije dwunastą. W szkole nie trzeba było jednak tak długo siedzieć! Przed bramą fabryczną objęła Magdzię za szyję. Były prawie jednego wzrostu.

— Czy mogę kiedyś przyjść do ciebie? — zapytała Anielka.

Magdzia skinęła głową radośnie.

— Przyjdź, to ci coś pokażę.

Uśmiechnęły się do siebie i pożegnały, gdy znalazły się na rostajnych drogach. Czasu miały niewiele. O pierwszej praca rozpoczynała się na nowo. Anielka w podskokach biegła wąską polną miedzą. Tańczyła prawie, znowu przepojona radością. Pod starą gruszą zerwała dwa fiołki.

— Zaniosę je Magdzi, — pomyślała i zaśmiała się, spoglądając ku błękitnemu niebu.

Przed stajnią Styków siedział Wojtek.

— Tak, tak, — pokiwał głową, — czy i teraz jeszcze tak chętnie chodzisz do fabryki?

Z błyszczącymi oczami Anielka skinęła głową i zniknęła za drzwiami matczynej chaty.

Wieczorem.

Zawsze już słońce znikало za lasem, gdy Anielka wieczorem wychodziła z fabryki. Dzisiaj szczególnie zapadający mrok przykro oddziałał na Anielkę, bo pragnęła jeszcze choć na chwilę wpaść do Magdzi. W powrotnej drodze do domu śpieszyła się ogromnie. Dwie rzeczy radowały ją tego wieczoru i dodawały bodźca do pośpiechu. Przedewszystkiem zbliżał się dzień wypłaty! Na samą myśl o tem Anielka kraśniała rumieńcem. Wszystkie pieniądze odda matce, tylko jakąś maleńką część sobie zatrzyma, bo przecież skoro chce kiedyś wybrać się w świat, to będą jej pieniądze potrzebne, należy więc już teraz odkładać. Może wogóle niezbyt długo będzie chodziła do fabryki, może wkrótce wyjadę... A Magdzia?... Teraz stanowczo nie wolno mi wyjechać, tłumaczyła sobie Anielka. Ale na przyszły rok...!

Niby wicher wpadła do izby, zasiadła do stołu i poczęła jeść zupę.

— Wiesz, — odezwał się Stefek, — dzisiaj

Wściekliczka znowu przyszła do naszej wsi. Nie masz pojęcia, jakżeśmy się śmieli ze Staśkiem! Mały Józek Wojciechów niósł za nią wszystkie towary, bo obiecała mu kupić za dwa grosze cukierków. Ale po drodze wziął sobie z koszyka trochę chałwy i uciekł!

— O! Żeby Wściekliczka nie poszła za nim do domu!

— To i tak już chałwy nie znajdzie! — zaśmiał się Stefek. — Nie znasz Józka?

Anielka pośpiesznie otworzyła skrzynię, wyjmując z niej czysty fartuszek.

— Czy mogę na chwilę pójść do Magdzi Rymarzówny?—zwróciła się do matki.

Matka siedziała z twarzą ukrytą w dłoniach i coś rachowała. Anielka nie pojmowała, co matka tak ciągle może obliczać.

— Do Magdzi? — powtórzyła, podnosząc głowę.—Musisz koniecznie? To idź, ale wracaj prędko.

Z westchnieniem ulgi Anielka wybiegła z domu. Nad wsią zawisa już noc. Z wieży kościelnej wesoly dzwoneczek śpiewał pieśń wieczorną Odpowiadały mu kosa, zięby i skowronki. Tak radośnie brzmiała ich pieśń, płynęła tak prosto z serca, że ludzie mimowoli milkli. Siedzieli przeważnie przed chatami, na schodkach, albo ławeczkach, zażywając świeżego powietrza. Ręce ich wreszcie odpoczywały.

— Dobry wieczór, — pozdrawiała wszystkich Anielka, idąc wiejską drogą.

— Dobry wieczór, — odpowiadali przyjaźnie.

— Jakże ta Anielka Lipkówna wyrosła,—rzekł

Hilary powroźnik do swojej żony, a potem znowu obydwójce umilkli. Żona powroźnika wyciągnęła przed siebie ręce i spojrzała ku rumieniącemu się wieczornemu niebu.

— Jutro będziemy mieli znowu ładny dzień, — wyszeptła, — bo wszystkie obłoki pędzą na północ. — Nagle zaśmiała się głośno. — Co ta Wściekliczka tak późno robi we wsi? A skąd te dzieciaki wracają?

Niby spóźnione ptaszęta biegly dzieci za matką, korpulentną kobiecinką.

— O, Wściekliczka! Wściekliczka!

Anielka całkiem mimowoli znalazła się w środku dziecięcej gromadki.

— Wściekliczka! Wściekliczka! — rozbrzmiewało po wsi.

Wściekliczka, wędrowną handlarka, znana była z tego, że nosiła zawsze siedem spódnic, jedną na drugiej. Anielka w pośpiechu policzyła teraz te spódnice. Każda wierzchnia była nieco krótsza od spodniej. Siedem spódnic! Mała kobiecinka wyglądała, jak kuleczka! Miała przytem okrągłą wesołą twarzyczkę i nosiła na głowie wzorzystą chustkę.

— Dobry wieczór, — pozdrawiała siedzących przed chatami wieśniaków. — Wściekle gorąco dzisiaj! Wściekle!

Na to tylko dzieci czekały. Niby poszum wiatru w świeżem listowiu, zaszemrało w gromadce:

— Wściekle! Jak nie będzie deszczu, to będzie wściekły upał!

Wiosną, latem, jesienią i zimą, zawsze Wściekliczka powtarzała jedno i te same słowa. Dlatego

też we wsi przezwano ją Wściekliczką, Wściekliczką w siedmiu spódnicach! Gdy szła obładowana swojemi towarami, gromada dzieciaków biegła zawsze za nią, Liczyły dzieci jej kolorowe spódnice, chichotały i pękały ze śmiechu, gdy kobiecinka mówiła „wściekle”. Czasami Wściekliczka siadała na kamieniu przydrożnym i któregoś z chłopców posyłała do sklepiku:

— Przynieś mi za dwa grosze tabaki.

A Józek Wojciechów! Cóż ten chłopak narobił!

— Byliście u Wojciechów? — pytały ubawione dzieci.

Wściekliczka skinęła głową.

— Będziecie mogli tam dzisiaj przenocować, — dorzucił mały synek szewca. — Józek chyba ucieknie na siano ze strachu.

— Ach, na siano! — śmiały się dzieci. Ale Józek, to spryciarz. Ubawił wszystkich.

— Dobry wieczór, — pozdrawiała znowu Wściekliczka wieśniaków.

Anielka spojrzała jej prosto w twarz. Twarz ta była nie taka, jak twarze innych kobiet, zawsze uśmiechnięta. Wściekliczce musiało się dobrze powodzić, pomyślała Anielka. Nic dziwnego, jak się tak ciągle wędruje z miejsca na miejsce. Gdy dorosnę, będę też sprzedawała towary, ale w innej wiosce. Powiem dzisiaj o tem Magdzi. Anielka podskoczyła. Z nieba spoglądała już na nią pierwsza gwiazdka, jednak na dachu pobliskiej chatki wciąż jeszcze siedział kos i gwizdał.

W odwiedzinach u Magdzi.

W maleńkim ogródku przed domem kraśniały purpurowe tulipany. Na drewnianej ławce tuż przy drzwiach pod dachem siedział gruby szewc, paląc długą fajkę. Przyglądał się, jak zręczne palce jego żony obierały łupinkę z kartofli.

— Przestań już, Jagna, — mruknął w pewnej chwili, — jutro też będziesz miała czas.

Kobieta skinęła głową.

— Ale Magdzia tak lubi rano placki kartoflane!

Wstała śpiesznie i wniosła miskę z kartoflami do chaty. Uczyniła to dziwnie lekliwie, zdawać się mogło, że ogarnia ją jakiś przestach.

— Dobry wieczór, — odezwał się dźwięczny głosik w ogródku.

— Ach, to Anielka Lipkówna! — zdziwił się gruby szewc. — Chciałaś pewno do Magdzi? Jest w izbie. Możesz wejść.

Anielka nigdy jeszcze w tej chacie nie była. Zapukała ostrożnie do pierwszych drzwi.

— Proszę wejść:

Anielka znalazła się w obszernej kuchni, której jedyne okno oplecione było bluszczem.

— Czy jest Magdzia?

— Tak, tak, wejdź do tamtej izby, — odpowiedziała przyjaźnie szewcowa. Stała przy kominie, gotując jedzenie dla świń.

Anielka położyła rękę na kłamce, otworzyła drzwi i nagle oczy jej rozwarły się szeroko. Z zakopconego sufitu niskiej izby zwisały niezliczone ilości butów i trzewików różnych rodzajów; wszystkie po parze związane.

— To na sprzedanie; — wyjaśniła Magdzia. — Chodź, tutaj będziemy miały dosyć miejsca.

Anielka jeszcze ciągle ze zdziwieniem rozglądała się po izbie, która sprawiała wrażenie latarni. Po obydwu stronach szerokie okna, a w środku naftowa lampa, na długim sosnowym stole. Fajansowe miseczki i duże blaszane łyżki przygotowane już były do następnego śniadania. W przeciwnym kącie dostrzegła Anielka stos podartych butów na ziemi. Gruby szewc, nie lubił łątać obuwia. Chętniej sprzedawał nowe.

— Prawda, że twój ojciec często chodzi do miasta? — zauważyła Anielka.

Magdzia skinęła głową.

— A ciebie czasem zabiera?

— Ja przecież muszę codziennie iść do fabryki!

Anielka zupełnie o tem zapomniała.

— Patrz! — Magdzia owinęła białą bawełną

na wskazującym palcu i pokazała Anielce szydełkową koronkę.

— Czy to trudno robić?

Amelka i Lodzia często szydełkowały w domu, ale Anielka nigdy się temu nie przyglądała.

— Nauczę cię, jak zechcesz! — ucieszyła się Magdzia.

— Tak? To jutro przyjdę i przyniosę z sobą bawełnę, dobrze?

Magdzia skinęła główką i z błyszczącymi oczami podbiegła do komody. Wyciągnęła dolną szufladę i poczęła czegoś szukać.

— Ach! — zawołała Anielka. — Jakie to cudowne! Skąd to masz?

— Watę mam z fabryki. Trzeba tylko powiedzieć Jakóbowi Brzózce. U niego w dolnej sali jest tego mnóstwo.

— Tak, a laleczkę sama z waty zrobiłaś?

Magdzia skinęła główką.

— Zuzia właściciela gospody „Pod Niedźwiedziem“ podarowała mi tę wstążeczkę. Wyjmij laleczkę z poduszki.

Anielka nie mogła się napatrzeć białej laleczce z waty. Tak pięknie wyglądała ze swojemi czarnymi oczkami, zrobionemi atramentem i zdawała się krzywić usteczka w uśmiechu. Jaka śliczna! Tam, gdzie miały być rączki i nóżki, Magdzia przywiązała czerwone wstążeczki.

— Pomożesz mi zrobić taką laleczkę? — prosiła zachwycona Anielka.

— Chodź, położymy ją z powrotem do łóżecz-

ka. Tak! Wystarczy tu miejsca na dwie lalki. Poprawimy jej pościel.

Nad otwartą szufladą pochyliła się ciemna kędzierzawa główka Anielki i jasna główka uszczęśliwionej Magdzi. Policzki Magdzi były rumiane. Troskliwie wygładziła miękką kołderkę, Anielka zaś poprawiła sienniczek z liści, który akuratnie mieścił się w szufladzie.

— Mają tu bardzo wygodnie! Leżą, jak w powozie, mają ciepło i mogą sobie jeździć tam i napowrót!

Zamknęła szufladę wolno i przez maleńką szparkę obydwie z Magdzą poczęły do laleczek zaglądać.

— Jakby to było dobrze, gdyby nasze łóżka też mogły jeździć! — zaśmiała się Anielka. — Wiesz, tak zupełnie wolniutko na kółkach! Pojechałabym wtedy do miasta i obejrzałabym wszystko dokładnie. A tybyś chciała, Magdziu?

Magdzia zaśmiała się. Dotychczas nigdy jej to na myśl nie przyszło. Roześmiał się również serdecznie gruby szewc, który stał teraz w izbie, oparty o piec plecami. Dziewczynki nie dostrzegły jego obecności. Magdzia śpiesznie zatrzęsnęła szufladę, Anielka zmieszała się i szepnęła:

— Muszę już iść, nie mogę tak długo siedzieć. Dobrej nocy!

Wyciągnęła rękę do grubego szewca.

— Jeszcze ciągle spacerujesz po linie? — zapytał ze śmiechem.

Anielka zarumieniła się.

— Niech cię Bóg prowadzi! — zawołała ser-

decznie szewcowa. — Ale wracaj zaraz, Magdziu. Na dworze jest chłodno.

Magdzia odprowadziła Anielkę do dużej jabłoni. Gwiazdy świeciły jasno nad głowami obydwu dziewczynek.

— Jutro, — rzekła Anielka, — jutro nauczysz mnie szydełkować. Dobranoc!

— Dobranoc! — odpowiedziała Magdzia i tak długo powiewała chusteczką, aż Anielka wreszcie zniknęła wśród ciemności.

Szła teraz Anielka zwawo przez swą rodzinną wioskę, a z każdego okienka zerkano ku niej światelko. Nie mogłaby w tej chwili zasnąć. Myśli, niby błędne ogniki biegały jej po główce... Nikt się tem nie interesował, że Magdzia nie była właściwie córką grubego szewca. Matka jej już dawno umarła, a ojciec wyjechał bardzo, bardzo daleko. Nikt nic o nim nie wiedział. Może już umarł! Basia mówiła kiedyś, że napewno nie żyje. Biedna Magdzia! Oczy Anielki stały się większe i rozmarzone. Właśnie na niebie ukazała się pełnia księżycy, niby złocista kula tuż nad lasem. Anielka przystanąła. Całkiem wyraźnie teraz widziała staruszka z wiązką drzewa, siedzącego na księżycu. Podobno ukradł to drzewo! A za karę przez całe życie miał podróżować na księżycu po świecie. Taki zupełnie samiutki! Anielce żal się staruszka zrobiło. Czy on mnie też widzi? przyszło jej na myśl. Z lasu dochodziły głośnie nawoływania puszczyka. Anielka śpiesznie wbiegła do domu i zamknęła za sobą drzwi.

Pierwsza wypłata.

Poza Anielką było już dwa tygodnie pracy w fabryce, a jej ten czas wydawał się wiekiem. Tak dawno przecież odbyła swe szkolne egzaminy. Dziwne, że od czasu, gdy Anielka pracowała w fabryce, dni wlokły się żółtym krokiem, jak naładowana towarem platforma. Wieczora nigdy nie mogła się doczekać, szczególnie teraz, gdy cieszyła się na myśl o dniu wypłaty i spełniała swe obowiązki z niezwykle zniecierpliwieniem. Niby wielkie święto, powitała ranek owego radosnego dnia.

Gdy zegar kościelny wybił uroczyste pół do szóstej rano, Anielka stała już przed domem. Na dachu domu Styków siedział kos, witając nowy dzień radosną pieśnią, jakby orjentował się, czem ten dzień był dla Anielki. Ale gdzie jest Wojtek? Przecież zazwyczaj o tej porze mył się przy studni! Anielka wspięła się do okienka stajni i zajrzała. Tak chętnie porozmawiałaby jeszcze z Wojtkiem. Ach! Drzwi chaty Styków skrzypnęły. Oczy Anielki zajaśniały radosnym blaskiem.

— Dzień dobry, Wojteczku!

— Co, już wstałaś? Boże święty, a ja dzisiaj zaspiałem!

Obydwoma rękami nabrał Wojtek wody z kuba, opryskał nią twarz i spojrzał nagle na Anielkę wesołym wzrokiem dawnego, przyjaźnie uśmiechniętego Wojtka.

— Zimna woda dobrze robi! Nie idziesz do fabryki?

— Idę, idę! Dzisiaj będzie wypłata! — zawołała pośpiesznie Anielka. Oczy jej przytem zajaśniały takim blaskiem, że Wojtek mimowoli zawołał:

— Ach! O to ci idzie! A może nie zapłacą?

— Zapłacą, zapłacą! — skinęła Anielka głową. — Pokażę wam pieniądze wieczorem! O, żeby już ten wieczór był jak najprędzej!

— Ja tam wolę, żeby dzień był jak najdłuższy, — zaśmiał się Wojtek. — Muszę jeszcze zorać kawałek łąki za stodołą i...

— A chętnie pracujecie? — przerwała mu nagle Anielka.

Tym razem Wojtek zrobił zdziwione oczy.

— Ja myślę. Nudziłby się człowiek bez roboty! Słyszysz, bułanek już niepokoi się w stajni! Poznaje mój głos. Ale myślę, że i ty już musisz iść, Anielciu, bo spóźnisz się na wypłatę.

— Nie, nie! — zaśmiała się Anielka wesoło. — Dowidzenia, Wojteczku! Wieczorem pokażę wam pieniądze, dobrze?

Wojtek jeszcze przez chwilę stał przed stajnią. Musiał przecież popatrzeć na Anielkę. Jak to ona

zapytała: „Pracujecie chętnie?“, kiwając głową, Wojtek wszedł do stajni.

Anielka tymczasem śpiesznie biegła do fabryki. Wesóło jej było dzisiaj na duszy. Leciutko, jak nigdy stąpała po nierównej, poplamionej oliwą podłodze. Nogi nie bolały, jak podczas innych dni. O nie! O wiele, wiele mniej! Nie czuła również nieprzyjemnego zapachu oliwy, gdy śliniła językiem palce. Nic absolutnie! Z takim samym apetytem, jak pierwszego dnia, jadła przyniesiony z domu chleb. Gdy snop słonecznych promieni wpadł przez okno i zatrzymał się tuż przy Anielce, dziewczynka zaśmiała się radośnie, witając złocisty blask. To do niej te słoneczne promienie zajrzały! Tuż pod maszyną słońce znaczyło się na podłodze jasną plamą. Dzisiaj szczególnie pięknie ta plama wyglądała. Anielka wyciągnęła ukradkiem z kieszeni swoje trzy laleczki z waty, rozesała na podłodze kawałek jedwabiu z czepka babci i usadowiła laleczki na słońcu. Nikt ich nie dostrzeże z poza maszyny. Teraz mają świetnie! Niech one chociaż się cieszą! Anielka czuła radość niemal w każdym mięśniu. Skakała przy maszynie tam i napowrót. Przecież była teraz matką, więc musiała pracować. Dzieciom niech będzie dobrze! Siedziały tam na zielonej łące, opalały się i przysłuchiwały śpiewowi ptasząt. Anielka nie mogła im się napatrzeć. Cudownie było im tutaj, na słońcu! Gdy Magdzia w pewnej chwili przeszła obok Anielki, ta schwyciła ją za rękaw i szepnęła coś do ucha. Magdzia pochylila się i oczy jej zabłyśły,

— Ja popołudniu także swoje przyniosę...
— zawołała z radością.

Popołudniu jednak słońce nie zagładało już do sali fabrycznej. Anielka pocieszała zmartwioną Magdzię, że laleczki wygrzeją się na słońcu w poniedziałek rano i obydwie myślą o tem radowały się przez całe popołudnie. Gdy wybiła szósta, rozpędowe koła maszyn przestały się obracać. Rzemienne pasy nie posuwały się już, jakby pod wpływem śmiertelnego zmęczenia. Wszystko zamarło, przejęte pragnieniem święcenia niedzieli. Dzięki Bogu! Wśród robotników fabrycznych święto zaczynało się już w sobotę o szóstej popołudniu. Trzeba było tylko jeszcze maszyny oczyścić i potem... Anielce serce mocno biło w piersi. Przepełniona radością biegała koło maszyn, które poczęły błyszczeć jak małe lusterka. W odległym kącie sali zabrzmiała cichutka pieśń:

„Złociste słońce, jakże piękne jesteś“.

Pieśń potężniała i poczęła brzmieć niby dziękczynna modlitwa w dusznej atmosferze sal przędzalni. Zimno i dumnie połyskiwały maszyny. Zamarły teraz w oczekiwaniu. Robotnicy i robotnice biegli do biura fabrycznego. Mężczyźni i chłopcy pościągali czapki z głów. Potem wszyscy wysypali się na dziedziniec z pieniędzmi w kieszeniach. Szybciej biegli i radośniej, niż każdego innego dnia. Anielka odczytywała już po raz dziesiąty nazwisko swe na kopercie, w której pobrząkiwały monety.

— Siedem złotych i dwadzieścia groszy masz

w kopercie, — rzekła Magdzia. — Zarabiamy jednakowo.

Siedem złotych i dwadzieścia groszy! Anielka poprostu nie mogła w to uwierzyć. Suma ta wydawała jej się olbrzymia. Niby uosobienie szczęścia wpadła do stajni Wojtka. Nigdzie go jednak nie było. Otworzyła drzwi chaty, wbiegła do izby i podała matce swój skarb.

Nagle stało się coś zadziwiającego. Matka pogłaskała Anielkę po włosach i ukradkiem otarła łzę, spływającą po policzku. Anielka zupełnie nie mogła tego zrozumieć. Chciała jak najprędzej zobaczyć srebrne monety. Przeliczyła je raz i drugi, przyglądała się im i uśmiechała i była dumna, jak jeszcze nigdy w życiu. Dobrze było jednak pracować w fabryce! Za dwa tygodnie znowu otrzyma pieniądze.

— Prawda, mamo, że zarabiam teraz więcej, niż babcia? — zaśmiała się. — Babcia musi przez całą zimę drzeć odpadki bawełny i dostaje za to dziewięćdziesiąt groszy. Ja zarabiam o wiele więcej!

Gdy cienie poczęły spływać na dolinę, siadła Anielka wraz ze swym rodzeństwem na stosie drzewa za domem i poczęła śpiewać, a śpiew jej dźwięczał, niby wieczorny dzwoneczek po całej wsi. Już dawno Anielka tak radośnie nie śpiewała. Przysłuchiwał się tej pieśni Wojtek, siedzący na ławeczce przed domem Styków i kiwał żałośnie głową. Wzrok jego wciąż spoczywał na jaśniejącej szczęściem twarzyczce dziewczynki.

Wielkie szczęście.

Rodzinna wieś Anielki zdawała się tonąć w powodzi kwiatów. Drzewa i krzewy pokryte były kwieciami, sprawiając wrażenie wielkich różnobarwnych bukietów. Z pól wieczorami płynęła upojna woń, którą Anielka z rozkoszą wdychała. Nigdy jeszcze świat nie był tak piękny! Do piersi przyciskała Anielka jakiś przedmiot owinięty w czerwoną wzorzystą chustkę. Dopiero od wczoraj wiedziała o tem! Wczoraj wieczorem po kolacji matka nagle rzekła do niej:

— Anielciu, możesz jutro rano pójść do nauczyciela do Wólki. Nauczyciel winien mi jest pieniądze za pranie i ma cię zato nauczyć grać na mandolinie.

Jeszcze teraz samo wspomnienie o tem zapierało Anielce oddech w piersi. Mandolina wisiała jak zwykle, w izbie babci, na ścianie przy oknie. Babcia często w niedzielę grała na mandolinie i podśpiewywała, dzieciom jednak nie wolno było mandoliny ruszać. Wyjątkiem pod tym względem

była Amelka, ulubienica babci, która niewiadomo gdzie nauczyła się grać na mandolinie. Anielka zawsze pochłaniała babcię wzrokiem, gdy ta grała, obserwując każdy jej ruch i każde przyciśnięcie palca. Sama raz jeden tylko spróbowała, ale nigdy nie śmiała babci o nic zapytać. A teraz! Teraz miała się uczyć całkiem poważnie gry na mandolinie!

— Ale żebyś mi mandoliny nie zepsuła! — ostrzegła babcia.

Anielka skinęła głową i wyciągnęła ze skrzyni czerwoną chustkę. Niby dumna królowa, stąpała teraz ostrożnie, piastując w ramionach bezcenny przedmiot. Jak ten pan nauczyciel wygląda? Może jej pozwoli już dzisiaj zagrać jakąś piosenkę. Śpiewać, to Anielka potrafi. Wszystkie pieśni babci zna na pamięć. Zaśmiała się. Palce napewno będą boleć od tej nauki, ale nie szkodzi. Anielka będzie ćwiczyć dwie, albo trzy godziny dziennie: może nawet jeszcze więcej. Żeby tak nie trzeba było chodzić do fabryki! A może tam mandolinę z sobą zabrać!

Wynurzyła się wreszcie Anielka z istnego lasu kwiecia i stanęła przed pierwszą chatą Wólki. Serce jej zaczęło bić jeszcze mocniej. Wygladziła białe fartuszek na odświeżonej sukience. Co powie pan nauczyciel, jak ją zobaczy? Tam była szkoła! Pan nauczyciel przy szkole mieszkał. Anielka lękała się nawet spojrzeć w okno. Wyjęła czystą chustkę z kieszeni i wytarła porządnie nos. Potem na palcach weszła na kilka stopni i stanęła przed drzwia-

mi. Musiała odpocząć, bo serce jej poprostu wyrywało się z piersi.

— Pan nauczyciel jest w izbie szkolnej, — rzekła jakaś kobieta, ukazawszy się na progu, poczem drzwi zatrzasnęła przed nosem Anielki.

Anielka miała takie uczucie, jakby ją ktoś oblał kubłem zimnej wody. Przed drzwiami szkoły przystanąła znowu na chwilę. Tutaj podobno był pan nauczyciel!

Zapukała.

— Proszę wejść! — odezwał się z izby męski głos i po chwili dwoje wesółch czarnych oczu z ogorzalej twarzy, okolonej brodą, spojrzało ku Anielce.

— Tak, tak, więc chcesz się uczyć grać na mandolinie? — mówił pan nauczyciel, zacierając dłonie. — Rozpakuj ją. Skąd masz tę mandolinę?

Pan nauczyciel dotknął strun i zaczął grać, a Anielka szerzej jeszcze otworzyła oczy i usta. Mandolina miała teraz dźwięk organów. Grał o wiele piękniej nawet, niż babcia. Spacerował po całej izbie, pogwizdywał i podśpiewywał, a ptaki mu za oknem wtórowały, jakby już oddawna czekały na tę muzykę. Anielka słuchała i słuchała. Przecież to był poprostu cud! W pewnej chwili wzniosła oczy ku niebu. Chciałaby się nauczyć też grać taksamo, zupełnie tak samo, a potem... Nagle pan nauczyciel zbliżył się do niej i rzekł:

— Myślę, że teraz możemy już zacząć.

Anielka ocknęła się, lecz zaraz zapomniała znow o całym świecie. Pochłaniała nazwy długich

drżących struń, usiłowała ułożyć odpowiednio rękę i wyraźnie, mocno o struny uderzać.

— Idzie, jak po maśle! — zaśmiał się nauczyciel i po chwili przyniósł Anielce duży, obdarty zeszyt.

Anielka musiała czytać nuty, które były całkiem inne od tych, jakie jej pokazywano w szkole. Musiała przytem grać. O, jak pięknie to brzmiało! Całemi godzinami mogłaby przysłuchiwać się dźwiękowi strun, ale pan nauczyciel wyjął nagle zegarek z kieszeni. Dwa zadania dał Anielce na następną lekcję, poczem sięgnął po kapelusz.

— Serdecznie dziękuję. Dziękuję pięknie! — wyszeptala Anielka, wyciągając rękę do pana nauczyciela, a po chwili znów znalazła się wśród powodzi kwiatów.

Czy to wszystko było tylko snem? Nie, nie! Niby baśń jakaś wydawały się Anielce różnobarwne kwiaty wokoło. Może zanucić jakąś piosenkę? Anielka pochłaniała wzrokiem otaczające ją piękno. Nie mogła się doczekać chwili, kiedy wreszcie dotrze do rodzinnej wioski. Poczęła biec. Trudno było dłużej czekać, miała przecież tyle, tyle do opowiadania.

Na gnojówce.

— Boże święty! — Wojtek otworzył małe okienko swej komóreczki i zaraz do izdebki wdarła się poranna pieśń kosa, a wraz z nią tak dobrze znany śpiew, dźwięczny, niby dzwoneczek. — Boże święty, — zdziwił się Wojtek, — przecież to już Anielka!

Gdy szedł do studni, aby się umyć, dostrzegł ją odrazu, ale gdzie!

— Dzień dobry, Anielciu! — zawołał. — Widocznie nie możesz ostatnio sypiać. Prawda, Anielciu?

Nie słyszała. Siedziała na desce, położonej na kupie nawozu za domem i uderzała w struny swej mandoliny.

— Mała pasterka wiodła owieczki na łączkę za rzeką, — śpiewała Anielka, zatopiona zupełnie w swej pieśni.

Dźwięcznie roznosił się jej głosik po podwórzu, tylko struny czasami dziwnie jęczały, bo dziewczynka nieprawidłowo jeszcze w nie uderzała. Wszystko razem jednak brzmiało prześlicznie, a Anielce ta muzyka podobała się coraz bardziej.

Już pięć razy przegrywała tę piosenkę; wczoraj i przedwczoraj. Matka i rodzeństwo nie chcieli tego brzdąkania dłużej słuchać. Anielka nie mogła ich zrozumieć, przecież to było takie piękne!

— Człowiek nie ma ani chwili spokoju, — narzekali.

Dlatego też Anielka nie mogła już sadzić się na stosie drzewa, ani na ławce przed domem. Ale przecież równie wygodnie było na gnojówce! Nikomu się nie przeszkadzało i można było grać, ile dusza zapagnie.

Anielka poślinka obolałe palce i podniosła główkę. Ach, Wojtek!

— Dzień dobry, Wojteczku! — zawołała radośnie. — Patrzcie, umiem już grać piosenkę o pasterce, Mam wam zagrać? — I zaczęła na nowo od początku swoją piosenkę.

Ko, ko, ko, gdały białe kury Styków, które właśnie wyspały się z kurnika. Ko, ko, ko, gdały wciąż głośniej, trzepocząc skrzydełkami i wskazując na kupę nawozu. Kukuryku! piał wspaniały kogut, kukuryku! Do nas należy gnojówka! Nagle otworzyły się wrota obszernej stodoły. Z pobliskiego chlewika wybiegła tłusta maciora z kilku prosiętami na podwórze. Chr, chr! mruknęła i skierowała swe kroki w stronę gnojówki.

— Tralala, — przerwała Anielka swą piosenkę i machnęła ręką, aby odegnąć kury. Nawet na gnojówce nie można mieć ani chwili spokoju!

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się Wojtek.

— Anielciu, gdzie jesteś? — rozległo się nagle wołanie matki. — Już najwyższy czas, żebyś

poszła do fabryki. Skaranie boskie z tą dziewczyną!

Ach! Jeszcze tylko jeden raz! Jeden jedyny raz: tralala!

Anielka oparła się o parkan i zaśpiewała rześwnie. Ta radość musi jej pozostać przecież na cały dzień.

— Wieczorem będę znowu grała, Wojteczku! — zawołała, odchodząc. — Może przyprowadzę ze sobą Magdzię!... Dowidzenia, Wojteczku!

W szalonym pośpiechu wypita Anielka mleko i wybiegła z domu. Przed nią, na widnokręgu ukazała się złocista kula słoneczna.

Jasna, choć słotna niedziela.

Z nieba spływały ciepłe krople deszczu i lekko upadały na ziemię. Wszystko pachniało, cieszyło się, lecz milczało. Cisza niedzielna zawisa nad całą wsią.

Tylko chwilami, niewiadomo skąd, rozbrzmiewały wesole śmiechy dzieci, to znowu brzęk rozdygotanych strun. Nagle w okienku poddasza ukazała się główka dziewczęca w wysokim szpiczastym czepku, poczem cofnęła się znowu. Teraz druga główka i trzecia. Po czarnych kędzierzawych włoskach można było odrazu poznać Anielkę.

Tak, tak, to była ona! Ale nie sama. Magdzia, Basia, Elżunia i Stefek dotrzymywali jej towarzystwa. Przyjemnie było dzieciakom dzisiaj na strychu, chociaż na dworze wciąż deszcz padał. Postanowili już dawno tej właśnie niedzieli urządzić chrzciny Anielczyńnych laleczek z waty. Trzy sta-

roświeckie czepce z długimi szarfami wyciągnęły dziewczynki ze starej skrzyni dębowej, stojącej pod ścianą na strychu. Z zapalem owinęła Anielka swą szyć fioletową szarfą.

— Żeby nas tak ktoś zobaczył! — wołała, podbiegając znowu do okienka. — Teraz tylko przydałyby się długie spódnice!

Stefek wyciągnął z kąta stare zakurzone kropidło i jakąś małą miseczkę.

— To mi jest koniecznie potrzebne, — oświadczył, — bo inaczej nie byłbym księdzem.

— Pokaż! — zawołały Basia i Magdzia.

Ale kropidło było tak zakurzone, że trudno je było z pyłu otrząsnąć.

— Mamy jeszcze tutaj Pismo Święte, — zawołała Anielka, — ale to taka ciężka księga, że jeden człowiek jej nie podniesie.

— Stefcu, połóż to kropidło na skrzyni, będzie to niby ołtarz. Wody też trzeba przynieść. Basiu, na dole jest woda w kubelku.

— Ja tymczasem skrzynkę czemś przykryję, — zaofiarowała się Magdzia.

Przykryła skrzynkę starem prześcieradłem i ustawiła na niej w dwóch słoikach rozkwitłe stokrotki.

— Potem na tej skrzyni wyprawimy sobie ucztę, — radowała się Anielka. — W skrzyni tej będzie także można urządzić sypialnię dla lalek.

Gdy wszystko już było gotowe, Stefek naciągnął na ubranie długą białą koszulę i rozpoczęła się ceremonia. W wyłożonem watą pudełku od cygar wniosła Anielka ostrożnie na strych swoje

laleczki z waty, przykryte jedwabną kołderką. Magdzia nie posiadała się z radości. Wczoraj dopiero Anielka podarowała jej swoją najpiękniejszą lalkę. Była i ona na chrzcinach, przykryta również kołderką z kawałka jedwabiu. Wyglądała cudownie! Z trudem odczytał Stefek kilka zdań z Pisma Świętego. Zapalono dwie świece na prowizorycznym ołtarzu. Anielka usiadła na stołku ze swą mandoliną. Przecież na chrzcinach także można śpiewać!

— Daję ci imię Barbara, tobie Regina, a tobie Rozalja, — kończył Stefek przemowę, spryskując wodą białe milczące laleczki.

— Nie płacz, — uspokajała chrzestna matka małą Basiunię z waty, — śpij, śpij!

I Basiunia nie płakała, a trzy matki chrzestne w wysokich czepcach poczęły śpiewać. Anielka uderzyła przytem w struny swojej mandoliny. Ponieważ pieśni tej grać jeszcze nie umiała, więc uderzała zwyczajnie, to w tę, to znów w inną strunę, co jej sprawiało wielką przyjemność.

— Ale świetnie już grasz, — dziwiły się dziewczynki.

— Jabym się także chciała uczyć grać na mandolinie, — wyszeptala ze smutkiem Magdzia. — To tak pięknie brzmi!

Anielka musiała znów zacząć od początku, a po skończonej pieśni laleczki położono spać.

— Teraz będziemy jedli! — zawołały dziewczynki. — Zdejmiemy te czepki.

— A co tam wisi na ścianie? — zdziwiła się Basia.

— To obręcz od krynoliny babci, — odparła

Anielka, — zawsze dawniej nosiła ją w niedzielę.

— Przyniosę jedzenie! — zawołał Stefek, ale Anielka pobiegła zaraz za nim.

— Już ja sama przyniosę! Nie wiesz, gdzie to wszystko schowałam.

Całe towarzystwo zgromadziło się przy skrzyni, na którą wysypano ogromny stos suszonych owoców, zebranych przez Anielkę.

Anielka skakała wesoło, aż w pewnej chwili przewróciła się. Magdzia i Basia podniosły ją natychmiast i usadowiły na stołku. Och! Słodkie owoce i kwaśne owoce! Suszone śliwki, gruszki i jabłka, wszystko pomieszane razem!

— Tak dużo tego macie?

— Dostaliśmy trochę od babci, — pochwalił się Stefek.

Anielka jadła z apetytem suszone śliwki.

— A teraz, — zawołała wreszcie, — wyjmijcie swoje zapasy!

— Mój lodowaty cukier! — zawołała Elżunia. Zbierałam go przez cały tydzień.

— A moje landrynki! — triumfował Stefek.

— Musimy się tem wszystkim podzielić! — zdecydowała Anielka. — Każdy niech weźmie garść owoców, tak zresztą mama kazała. Trzymajcie ręce, dam każdemu po troszeczku.

Przez okienko w górze zajrzały ciekawie promienie słoneczne. Pod dachem gruchały gołębie, a na strychu młodociane towarzystwo śmiało się, weseliło i opowiadało ucieszne historyjki. Oczy Magdzi błyszczwały. Już dawno tak jej dobrze nie było.

— Moja mama także grała i śpiewała, —
oświadczyła w pewnej chwili.

Wzrok wszystkich dzieci zwrócił się w jej stronę.

— A znałaś swoją mamę?

— Nie, ale babcia mi o niej opowiadała. Mama już bardzo dawno umarła.

— Tatuś także? — Elżunia i Basia położyły dłonie na ramionach Magdzi.

— Tego nie wiem. Wyjechał, daleko, bardzo daleko. — Twarzyczka Magdzi posmutniała nagle. — Potem babcia także umarła i dlatego oddano mnie do grubego szewca.

— O jej!

Anielka pośpiesznie zdjęła z ręki bransoletkę kupioną na jarmarku i podała ją przyjaciółce.

— Mogę ci to podarować. Włóż zaraz.

— O, pokaż! Jakie to śliczne!

Znowu oczy wszystkich dzieci zabłysły, lecz uroczystość chrzcin musiała się kiedyś zakończyć. Gdy schodziły ze strychu, była już pora udania się na spoczynek. Ze wszystkich dachów ostatnie krople deszczu kapąły. Kwiaty były jeszcze świeższe i grały różnorodnością kolorów, a cudowna woń przenikała powietrze.

— Jutro napewno będzie ładna pogoda, — mówiła matka Anielki przed domem do Wojtka.

— Jutro jest poniedziałek, — szepnęła Magdzia, a Anielka skinęła głową. — Dzisiaj było bardzo wesoło!

Nagle Anielka ścisnęła mocniej rękę Magdzi.

— Tak chcesz, to cię mogę nauczyć grać na

mandolinie, — rzekła. — Mogłabyś ćwiczyć na mojej. Zapytam babcię.

Słoneczny blask rozjaśnił bladą twarzyczkę Magdzi.

— Tak? Myślisz, że nauczyłabym się? O, dziękuję ci! Bardzo ci dziękuję, Anielciu!

Z zarumienionemi policzkami wracała Magdzia z niedzielnej wizyty do cichej, ponurej izby grubego szewca.

Wesołe tygodnie.

Magdzia rozkwitała, jak różyczka. Codziennie rano stała przy wskaźniku drogowym, wyglądając zjawienia się Anielki. Teraz na całym świecie niktogo bardziej nie kochała. Gdy Anielka ukazywała się na zakręcie drogi, Magdzia powiewała ku niej wesoło chusteczką i śpieszyła przyjaciółce na przeciw.

Jak codziennie, tak i dzisiaj Jakób Brzózka szedł miarowym krokiem tuż za dziewczynkami, podążającymi do fabryki. Z kieszeni jego sterczał zawsze jednakowo duży kawał chleba.

— A ty chleba nie wzięłaś?—zapytał ze zdziwieniem Anielkę.

Dziewczynka potrząsnęła głową.

— Nie mogę już jeść w fabryce. Przecież wszystko tam pachnie oliwą. Niedobrze mi się robi, jak pomyślę.

Jakób wzruszył z wolna ramionami.

— Mnie tam wszystko jedno, — rzekł, — już się do tego przyzwyczaiłem.

— Anielka zatrzymała się nagle.

— A chętnie chodzisz do fabryki?—zapytała.

Jakób ze zdziwieniem skinął głową. Właściwie nigdy o tem nie myślał. Przecież ojciec jego chodził do fabryki, a kiedyś nawet podobno i dziadek.

— A ty? — zwróciła się Anielka do Magdzi.

— Od czasu, jak ty pracujesz, chodzę bardzo chętnie,—odparła przyjaciółka, poczem zakaszła.

Anielka podała Magdzi buteleczkę z lekarstwem. Było ono podobno przyrządzone na winie. Magdzia powinna była co godzinę kilka kropel wypić.

— Ten głupi kaszel, — narzekała, — w żaden sposób nie mogę go się pozbyć. Może wczoraj wieczorem za długo siedziałyśmy na ławce.

Dziewczynki spojrzały na siebie i wybuchnęły głośnym śmiechem.

— Dzisiaj wieczorem znów idę na lekcję! — cieszyła się Anielka, — później pokażę ci wszystko, czego się nauczyłam, dobrze, Magóziu?

— Czy mogę pójść z tobą? Będę czekała przed domem. O, Anielciu, przecież nam tak dobrze razem!—Magdzia położyła rękę na ramieniu Anielki.

Z rękami wsuniętymi w kieszenie spodni, kroczył tuż za dziewczynkami Jakób Brzózka.

I tak było jednakowo z dnia na dzień. Gdy ktoś szukał Anielki, zawsze znajdował przy niej Magdzię, a gdy się czegoś chciało od Magdzi, dostrzegało się zazwyczaj pytające oczy Anielki. Co wieczór siadywały obydwie za domem Anielki, a gdy już i babcia nie mogła dłużej słuchać tych koncertów, przeniosły się na polankę pod lasem, gdzie grały na mandolinie i śpiewały bez końca. Jednak-

że pończocha, którą Magdzia robiła na drutach, coraz szybciej się powiększała. Tak, Magdzia codziennie zapewniała żonę grubego szewca, że przy śpiewie o wiele się prędzej robi na drutach. Gdy Anielka biegła na lekcję gry na mandolinie, Magdzia towarzyszyła jej zawsze z bijącym sercem. Siadywała pod oknem szkoły, przysłuchując się śpiewowi Anielki i głośnym poleceniom, które wydawał jej pan nauczyciel. Czasami nauczyciel krzyczał. Wówczas Magdzia rumieniła się i druty jej przestawały poruszać się przez chwilę. Dwa razy dziewczynki nie zastały w domu pana nauczyciela i nie mogły tego odżałować. Stały pod oknami, a twarzyczki ich były smutne.

— Może zaraz nadejdzie, — mówiła Magdzia i czekały, czekały, ale nauczyciel nie nadchodził.

— To nauczę się sama dalej na następną lekcję, — pocieszała się Anielka. — Chodź, Magdziu, posiedzimy trochę nad rzeką. Zaśpiewam ci nową piosenkę.

Wieczorny wietrzyk muskał lekko zmęczone od słońca pola, zamykał kwiatom różnobarwne kielichy i kołysał drzewa do snu. Ponad lasem rozbrzmiewał śpiew ptaszęcy, a w głębi szumiały fale rzeki. Jakiś pan z kapeluszem w ręku szedł połą dróżką zamyślony; dwie głębokie brózdki znaczyły mu się na czole. Nagle przystanął, uśmiechnął się i podszedł do dziewczynek, siedzących na wybrzeżu, które wtórowały ptaszętom w głośnych trelach.

— Brawo! Brawo! — klasnął w dłonie.

Anielka podniosła główkę.

Kawałek błękitnego nieba ujrzała w roześmianych oczach obcego pana.

— Kim jesteście, dziewczynki? Jak się nazywacie?

Obcy pan pogłaskał rumiane policzki Anielki i przeciągnął ręką po włosach Magdzi.

— Znacie jeszcze jakieś inne ładne piosenki?

— To był właściciel fabryki! Nasz pan! — przeraziła się Magdzia, gdy znowu obydwie z Anielką zostały same. — Słyszał, jak śpiewaliśmy! O, Jezus!

Śmiejąc się, biegły dziewczynki do domu. Anielka wciąż jeszcze szeptała zdziwiona:

— Więc to był właściciel fabryki?

Zupełnie inaczej wyobrażała go sobie. Zdało jej się, że powinien być o wiele poważniejszy! Przecież był taki bogaty!

Mało wody.

Jeden pogodny dzień następował po drugim. Na drzewach liście poczęły schnąć od upału. Na łąkach kwiatki z pragnienia pochylały swe główki. Tumany kurzu unosiły się w powietrzu na wszystkich polnych drogach. W szalonym upale milkło i zamierało życie. Nawet fale rzeki szumieć przestały, bo wody w niej prawie nie było. Dopiero wieczorami zjawiał się lekki wietrzyk i poczynął błędzić sennie po dolinie. Wieśniacy przed chatami klepali kosy, wrota stodół otwarte były naoścież, pachniało sianem.

Wieś spała. Na niebie mrugały gwiazdy, z ponad lasu wypłynęła tarcza księżycy. Spoglądał on jednak z takim zdziwieniem na dolinę, że matowe jego promienie nie przenikały ciemności. Przędzalnia! Maszyny warczą. Pasy rzemieńne przesuwają się i dygocą! Nie zdają sobie widocznie sprawy, że na dworze panuje księżycowa noc i że wszystko odpoczywa! Tak! W rzece jest mało wody. Prąd fal nie może już wprawiać w ruch wszystkich

maszyn o jednej porze. Dlatego też jedne maszyny pracują od dwunastej w południe do dwunastej w nocy, a drugie od dwunastej w nocy do następnego południa. Teraz fabryka nie troszczy się o odpoczynek swych robotników.

Przy jednej z maszyn stała Magdzia. Powieki miała ciężkie i w oczach czuła jakby piasek. W żołądku też kruczało. Od południa nie była w domu. Żona grubego szewca dała jej z sobą butelkę zimnej kawy, a do tego dwa kawałki chleba z powidłami. O siódmej była przerwa na kolację, teraz na wieży kościelnej biła jedenasta. W oczach Magdzi zajaśniał płomyk radości. O dwunastej zobaczy znowu Anielkę, bo Anielka o dwunastej zaczyna pracować. Już oddawna Magdzia miała jej coś do powiedzenia. Przyszedł list z Ameryki od ojca. Ojciec przysłał pieniądze i bardzo długi list napisał. Magdzia o wszystkim musi opowiedzieć Anielce. Nie mogły się już teraz poza fabryką widywać, tylko o dwunastej w południe i o dwunastej w nocy, ale zaledwie na kilka sekund. Nie mogły już teraz śpiewać, ani grać na mandolinie. Ach! Magdzia co wieczór modliła się o deszcz. Wówczas napewno będzie inaczej!

W tę noc księżycową tuż nad brzegiem rzeki biegła gromadka dzieci. W jednym miejscu trzeba było przejść przez pokryty dachem, drewniany mostek. Basia lekliwie spojrzała w stronę ciemnego lasu. Zawsze o dwunastej przejeżdżał przecież tamtędy ognisty rycerz w białej oponczy. Babcia tak często o nim opowiadała. Basia przytuliła się do dzieci.

— Boisz się? — zapytał Jakób Brzózka.

Basia skinęła głową. Tam na polance wyraźnie dostrzegła coś białego.

— To napewno tylko mgła, — uspokajała ją Gieńka.

Przejęte strachem dzieciaki poczęły iść dalej. Coraz bliżej jaśniały światła z okien fabryki. Wybiła dwunasta. W bramie Anielka spotkała Magdzię. Uścisnęły sobie mocno ręce i Magdzia wyjąkała kilka słów. Anielka otworzyła szeroko oczy, ale nic nie rzekła. Przez całą drogę nie wypowiedziała ani słowa.

— W południe pokażę ci ten list, jak będę mogła, — szeptała Magdzia. — Dobranoc! Dobranoc, Anielciu!

I Magdzia zatoneła w ciemnościach wraz z innymi. Nie lubiła sama wracać do domu o tej porze, a szczególnie bała się przechodzić koło cmentarza. Gruba Zuzia dopiero niedawno opowiedziała jej prawdziwą historję o duchach. Lękliwie wciskała się Magdzia między idących robotników, którzy szli tuż za Jakóbem Brzózka i Rybakiem Rochem. Ponuro czerniła się droga przed robotnikami wracającymi do domu. Tarcza księżycy skryła się za pobliskie pagórki.

Czuwały tylko światła w fabryce. Były widocznie zmęczone, bo ze smutkiem jakoś spoglądały przez okna w czarną przestrzeń pól. Gdy Anielka wraz z innymi dziećmi weszła do sali, musiała natychmiast przytknąć chustkę do nosa. Ostra woń lamp naftowych zapała jej poprostu oddech w pierśiach. Ale po chwili już żadnego zapachu nie czuła.

Właściwie Anielka wciąż jeszcze spała, chociaż dotykała bawełnianych nici, śliniła palce i czyściła aksamit walców. Napół sennie spoglądała na postacie, krzątające się przy maszynach. A maszyny wyśpiewywały ciągle jedną i tę samą melodję.

Dopiero gdy przez okna wtargnął szary świt do sali i począł walczyć z światłem lamp, Anielka ocknęła się. Dzień! Żeby tak na chwilę wyrzecz na dwór, tylko na chwileczkę! Gdy na wieży kościelnej wybiła szósta, majstrowie ogłosili przerwę. Anielka wybiegła na dziedziniec.

— Nie wolno wychodzić! — wołał za nią Jakób Brzózka, gdy zbiegała po schodach.

Nie słyszała jednak. Powietrze! Słońce! Anielka wybiegła na blask słoneczny i odetchnęła głęboko. Kapała w słońcu swe obolałe nogi i zanurzała je w trawie. Wybiegła przed bramę i przystanąła na wąskiej ścieżce, tuż przy drewnianej ławce. Ach, słońce! Słońce! Ciepło słoneczne przypłynęło przez całe ciało Anielki. Uśmiechnęła się i przymknęła oczy. Teraz zjem chleb, pomyślała. Usiądę na tej ławeczce i będę jadła. Nagle ukazała się zadyszana Basia.

— Masz natychmiast wracać, Anielciu! Majster cię widział. Nie wolno z fabryki wychodzić.

Anielka obejrzała się.

— Dlaczego? Przecież tu jest o wiele ładniej?

— Chodź prędko! — nastawała Basia. — Można w korytarzu usiąść na skrzyni i zjeść śniadanie.

Anielka wsunęła z powrotem chleb do kieszeni. W serduszku jej coś się załamało. Wolniutko, z sze-

roko rozwartemi, pociemniałemi oczami, wracała do budynku fabrycznego.

Znowu maszyny warczały, pasy rzemienne przesuwają się, a Anielka z tęsknotą wyczekiwała południa. Będzie mogła wówczas pójść do domu i wróci tu dopiero o dwunastej w nocy.

Zmartwienie.

Nareszcie, nareszcie spadł tak długo oczekiwany, wytęskniony deszcz. Poziom wody w rzece wznosił się i wznosił, aż wreszcie całe koryto wypełniło się po brzegi. W przędzalni maszyny zaczęły pracować prawidłowo podczas dnia, a ludzie w nocy mogli już odpoczywać.

Ach, z jaką ulgą odetchnęła Magdzia! Mogła już znowu przychodzić do Anielki i mogły razem urządzać swe koncerty! Anielka nie chodziła jednak więcej na lekcje gry na mandolinie. Pan nauczyciel oświadczył, że oddał już lekcjami swój dług i że więcej nie będzie miał dla niej czasu. Anielka była zasmucona, ale postanowiła sama uczyć się nowych pieśni. Zdolna była. Od pewnego czasu Magdzia miała żal do Jakóba Brzózki. Jakób dwa razy oskarżył Anielkę przed majstrem zato, że przyniosła do fabryki zeszyt z nutami i w przerwie na dziedzińcu cichutko śpiewała. Takich rzeczy robić nie wolno. Magdzia z pewnością nigdyby tego nie wyznała. Anielka jednak zapomniała mu to wkrótce.

Wogóle była całkiem inna, niż wszystkie robotnice w fabryce. Pragnęła wyjechać do Ameryki i często opowiadała Magdzi zadziwiające historie, które gdzieś podobno przeczytała. Historje te nasuwały Magdzi rozmaite myśli. Doszła do wniosku, że mogłaby całe życie przetrwać z Anielką.

Pola zwolna dojrzewały. Rozdzwoniły się kosy, a przez wieś przeciągały wozy naładowane zbożem. Fabryka pracowała wciąż jednakowo. Pewnego dnia jednak zapanował w przędzalni niepokój. Majstrowi zginął zwój sznurów, który przed kilku tygodniami, nie wiedział dokładnie kiedy, położył w kącie na parapecie okiennym. Zwój sznurów został skradziony! Ktoś go musiał zabrać! Kradzież! Kradzież! Kto był złodziejem? Jedni spoglądali na drugich, jedni drugich zapewniali:

— Ja nie wziąłem! Naprawdę, naprawdę, przysięgam!

Majster spoglądał na robotników surowym wzrokiem.

— Muszę zawiadomić policję. Złodzieje w fabryce są nam niepotrzebni.

— Policja napewno przeprowadzi rewizję w każdym domu! — szeptały dzieci, wychodząc z fabryki.

— Kto mógł wziąć te sznury? Niech się lepiej odrazu przyzna. Przecież trudno wszystkich posądzać o kradzież!

— Kradzież! — rozniosło się tego wieczoru po całej wsi. — W fabryce była kradzież!

Niby sarna szczuta psami, biegła Magdzia przez kwitnący ogródek do domu. Przecież nie

chciała ukraść, nie, nie! Co oni mówią! Jakie dziwne miny robią! Tylko dlatego, że sznur się poniewierał i nikomu nie był potrzebny, postanowiła zabrać go do domu. Szewcowej mógł się przydać do wieszania bielizny, myślała Magdzia. Na miłość boską! Błada, z wypiekami na twarzy, stanęła Magdzia w kuchni.

— Matko! Matko! Czy mam zaraz zanieść ten sznur majstrowi? Przecież nie jestem złodziejką! Matko, ja nie ukradłam!

— Ach, jaki wstyd! — jęczała żona grubego szewca. — Cała wieś mówić będzie o tem. Nie, nie, majster i tak ci nie uwierzy, gdy mu opowiesz. Już ja go znam. Zawsze nas nienawdził. Ojciec jego rozniósł kiedyś po wsi, że zeszej zimy kradliśmy drzewo powroźnikowi. Hańba! Boże święty i Panie, pocios przynosiła ten sznur!... Co teraz pocniemy? Ptzenie nie możesz go z powrotem zanieść do fabryki, bo mógłby cię ktoś podpatrzeć! A wtedy! Policja mogłaby cię od nas zabrać i stracilibyśmy te kilka groszy za twój wikt. I tak uważają nas za najgorszych w całej wsi. Gotowi powiedzieć, że namówiliśmy cię do kradzieży. Nie, nie! Trzeba jakoś pozbyć się tego sznura, to jest jedyna rada. Ale gdzie go podziać? Przynies go, Magdziu. Przynies go pod fartuchem. O, mój Boże!

Drewniane schody zatrzeszczały. Żona grubego szewca śpiesznie pobiegła na poddasze.

— Wsunę go za tę belkę, — szeptała, — tutaj go nikt nie znajdzie. O tak!... Ale żebyś nie pisała o tem nikomu ani słowem, bo gotowaś sprowadzić nam na kark policję. Dzięki Bogu! A teraz

chodźmy, trzeba coś zjeść. Magdziu, ty drzysz, jak osika!

Niby przykry, męczący sen, wszystko minęło. Magdzia już oddawna leżała w łóżku, nie spała jednak. Jak rozhukane konie, przebiegały jej przez głowę niewesołe myśli. Oczy miała szeroko otwarte, a serce wrywało się z piersi. Bała się, strasznie się bała. Czy powinna powiedzieć o tem Anielce? Nie, nie! Coby Anielka o niej pomyślała! Z pewnością nie chciałaby jej znać więcej. Magdzia ukryła twarz w poduszkach. Bezradny szloch począł wstrząsać całym jej ciałem.

Choroba.

Magdzia Rymarzówna nazajutrz nie przyszła do fabryki. Najbliższa jej koleżanka, pracująca przy tej samej maszynie, opowiadała dzieciom z zapalem:

— Żona grubego szewca musiała w nocy biegać po doktora. Magdzi było tak duszno, że poprostu nie miała czem oddychać. Teraz leży na pościeli, jak martwa. Kto wie, może już nigdy do fabryki nie przyjdzie. Biedna Magdzia!

— Bardzo biedna! Przecież to taka miła dziewczyna!

Na Anielkę ta wiadomość spadła, jak piorun z jasnego nieba. Magdzia nigdy już nie przyjdzie do fabryki! Anielka czuła, że serce jej zamienia się w kawałek lodu. Nie, nie, może... Wczoraj wieczorem Magdzia tak szybko biegła do domu! Nie zaczekała nawet na Anielkę, a przecież musiała słyszeć, jak Anielka ją wołała. Może już wtedy źle się czuła, a może z powodu tego sznurka... Najwyraźniej przez cały wczorajszy dzień drżała. Cóż ona mogła mieć wspólnego z tym

sznurem? Z pewnością zabrał go ten wstrętny Heniek, syn kulawego skrzypka. Raz nawet, jak szedł do domu, jakiś sznur wystawał mu z kieszeni. Wszyscy teraz doskonale to pamiętali, wszyscy mówili o tem. Wobec tego Magdzia nie powinna się tą całą sprawą przejmować.

Natychmiast po skończonej robocie Anielka pierwsza pobiegła śpiesznie w kierunku chaty grubego szewca. Dwie inne dziewczynki również tam z nią poszły, ale żona grubego szewca nie wpuściła ich do Magdzi.

— Do Magdzi nie można wchodzić, — rzekła. — Może jutro przyjdziecie. — Potem odwróciła się i zamknęła pośpiesznie drzwi.

To samo powtórzyło się nazajutrz i na trzeci dzień. Wreszcie czwartego dnia Anielka poszła sama. Koleżanka, która pracowała z Magdzą przy tej samej maszynie, śpieszyła się dzisiaj do domu, do chorej babki, a Basia Matysiakówna zła była na Anielkę, gdyż ta nie przyniosła jej obiecane obrazka.

Anielka długo stukwała do drzwi chaty grubego szewca. Ponieważ nikt nie odpowiadał, zdecydowała się nacisnąć klamkę. W kuchni nie było nikogo. Anielka wiedziała, gdzie Magdzia sypia, to też cichutko zbliżyła się do drzwi na lewo i zapukała.

— Proszę wejść! — odpowiedział z wnętrza zdławiony głosik.

Anielka otworzyła drzwi. W półmroku zapadającego wieczoru rozwarte szeroko oczy Magdzi świeciły, jak dwie gwiazdy. Jej blada, wychudzona twarzyczka, zarumieniła się nagle.

— Anielciu, przyszedł do mnie? — wyszeptano,
a potem łyzy nabiegły jej do oczu.

Zaczęła drżeć i kaszleć. Anielka przeraziła się.
Chciała wybiec i zawołać kogoś, lecz Magdzia wy-
ciągnęła do niej błagalnie ręce:

— Nie, nie, zostań, to zaraz przejdzie. Wkrót-
ce będę znowu zdrowa... Kto mnie zastępuje teraz
w fabryce?... Czy majster nic o mnie nie mówił?

Oczy jej przez cały czas z lekkością spoczywały
na twarzy Anielki.

— Nie, mówił tylko, że jesteś ci. ora, — od-
parła przyjaciółka — Co do tego sznura, to też
jakoś wszystko ucichło. Wszyscy są pewni, że He-
niek go zabrał. Napewno odtrąca mu z wypłaty,
i będzie musiał wytłumaczyć się naszemu panu.
Głupiec! Dlaczego odrazu nie przyniósł sznura?
Ciągłe się upiera, że go nie zabierał, ale wszyscy
widzieli, jak sznur mu sterczał z kieszeni. Wszy-
scy gotowi byliby przysięgać!

Magdzia coraz bardziej drżała, Heniek kula-
wego skrzypka! Dopiero zeszłej jesieni przydźwi-
gał jej drzewo z lasu. Dobry z niego chłopak!
Kulawy skrzypek miał siedmioro dzieci. Z wypłaty
mu odtrąca za ten sznur! Z wypłaty! W skroniach
Magdzi huczało, jakby ktoś młotem uderzał. Przym-
knęła oczy. Jak mogła jeszcze patrzeć na Anielkę!

— Może jednak naprawdę Heniek nie wziął
sznura, — wybiegło z posiniątych warg Magdzi.

— Wziął, wziął, — upierała się Anielka, —
wszyscy o tem mówią. Lepiejby go przyniósł, za-
nim policja przeprowadzi u nich rewizję.

Magdzi ciemno zrobiło przed oczami. Wargi jej

zaschły. Białe policzki pokryły się rumieńcem. Anielka zauważyła to i pomyślała:

— Nie powinnam była do niej przychodzić. Biedaczka jest bardzo chora. Pójdę już lepiej.

— Dobranoc, Magdziu, — rzekła głośno, — przyjdę któregoś innego dnia. Może ty teraz zaśniesz.

Ale, gdy Anielka była już przy drzwiach, Magdzia zawołała:

— Anielciu! Anielciu! Nie odchodź! Muszę ci coś powiedzieć! Ja... ja... to ja sznur zabrałam! Nie, Anielciu, ja go nie ukradłam! Nie jestem złodziejką! Naprawdę, Anielciu, nie jestem! Tylko matka prosiła, żebym go przyniosła. Myślałam, że ten sznur nikomu się na nic nie przyda. Anielciu, pomóż mi! Niech policja tutaj nie przychodzi. Anielciu! Anielciu!

Głowa Magdzi opadła na poduszki. Nowy atak kaszlu zagłuszył dalsze słowa. Nagle do izby wbiegła żona grubego szewca. Poczęła jęczeć głośno i chwyciła Magdzię za drżące ręce.

— Co się stało? Ach, Boże drogi, co też my musimy znosić!

Anielka opowiedziała o wszystkim z przerażeniem. Wtem Magdzia otworzyła oczy.

— Matko, — wyszeptwała, — Anielci zanieś sznur z powrotem do fabryki. Ale nikomu go nie pokażesz, dobrze, Anielciu? Położysz go tylko na oknie, jak nikt nie będzie widział! Wiesz, tam w kącie, na oknie, z którego się widzi dom państwa, przy samych drzwiach. Heniek musi koniecznie:

nie otrzymać całą wypłatę. Nie chcę, żeby mu odtrącali.

— Tak, Magdziu, napewno, uspokój się teraz, — prosiła szewcowa, przerażona coraz bardziej. — Uspokój się! Anielcia wszystko dokładnie załatwi. Anielciu, prawda, że przyrzekasz? Śpij teraz, Magdziu, śpij spokojnie. Widzisz, wszystko znowu będzie jak najlepiej.

Anielka poprostu nie wiedziała, jak się to wszystko stało. Czuła jeszcze ciągle gorący uścisk wychudłej dłoni Magdzi, widziała jej smutne, błagające oczy, a potem ze zwojem sznura pod fartuszkim znalazła się na drodze wiejskiej wśród nocy.

Kto?

Różowy blask przenikał aż do głębi lasu. Dzień się budził. Anielka biegła wcześniej niż zwykle w stronę budynku fabrycznego z ciężką tajemnicą w sercu. Czy nocny stróż już wyszedł z fabryki? Nie możliwe! Będzie musiała z nim się spotkać. Anielka wsparła się o cembrowaną studnię, zamarła w oczekiwaniu. Serce jej było pełne najlepszych chęci, w oczach jednak czaił się lęk, że to wszystko się nie uda. Dręczyła ją tylko jedna myśl: Prędko, jak najprędzej, nim ktośkolwiek przyjdzie, położyć sznur na dawnym miejscu, a wtedy... wtedy wszystko będzie dobrze. Wtedy Magdzia wyzdrowieje.

Serduszko Anielki przepelnione było współczuciem. Magdzia nie była winna, wiedziała o tem napewno, bo знаła ją lepiej, niż siebie samą. Nawet na chwilę o tem nie zwątpiła. Nie wolno, aby ludzie źle o Magdzi mówili, bo to wszystko byłoby kłamstwem!

Anielka poprzedniego wieczoru włożyła sznur do torby, którą zawsze ze sobą do fabryki zabie-

rała. Teraz, nie zjadłszy śniadania, wybiegła z do-
rnu drzwiami od podwórza, owinawszy jeszcze po-
przednio torbę czerwoną chustką, aby sznura nie
było widać. Tak, sznur był w torbie, Anielka czuła
go pod palcami. Żeby go jeszcze tam położyć!
Jakże gorąco tego pragnęła.

Nagle odskoczyła i skryła się za studnią. Drzwi
fabryki otworzyły się, wyszedł przez nie stróż noc-
ny na dziedziniec. Rozejrzał się jeszcze kilkakrot-
nie wokoło i wąską polną ścieżką począł iść w stro-
nę swego domu. Teraz najwyższy czas! pomyślała
Anielka.

Na palcach wbiegła na schody. Nikt nie idzie?
Byleby nie to! Nikt nie powinien nadejść. Anielka
mocno do piersi przyciskała zwój sznurów. A je-
żeli już ktoś jest w sali na górze? Jeżeli majster
zobaczy ją z tym sznurem! Co wtedy? Anielka
przystanąła na chwilę zadyszana. Przecież Magdzi
nie zdradzę, choćby się nie wiem co stało. Powiem
poprostu, całkiem zwyczajnie: To ja wzięłam sznur!

Mniejsza o to, jeżeli mnie stąd wypędzą. Itak
niechętnie chodzę do fabryki... ale... matka! Bab-
cia! Ludzie na wsi! Co wszyscy na to powiedzą?

— Nie! Nie!...

Anielka przycisnęła klamkę. Drzwi sali fabry-
cznej skrzypnęły. Skrzyknięcie to odezwało się
echem na samym dnie serduszka Anielki.

Czyż żaden szmer nie dochodził z sali? Gdzieś
z dołu słyhać było kroki. Na miłość boską! Ucie-
kać! Prędko! Ale dokąd? Co Magdzia powiedziała?
Wkację, na oknie, z którego widać dom państwa!...
Tam!... Tak... Teraz... Prędko!

Oddychając śpiesznie, stała Anielka znowu przy drzwiach z szyją okręconą dużą czerwoną chustką. Przed nią stał Heniek, syn kulawego skrzypka.

— Chora jesteś? — zapytał. — Dlaczegoś się tak w chustkę owinęła? A twarz masz bladą, jakby ci było niedobrze,

— To ci się tylko zdaje! — wyszeptała Anielka, pocierając obiema dłońmi policzki.

Jak mogła zapomnieć o tym obrzydliwym Heńku! Przecież on prawie codziennie przychodził tak wcześnie do fabryki! Ojciec Heńka zastawiał na polach pułapki na zające, a Heniek przeważnie mu w tem pomagał. W zeszłym tygodniu zastawili pułapki na polu Styków.

— Dlaczego przyszedł tak wcześnie? — dziwił się Heniek.

Anielka wzruszyła ramionami i szybko ściągnęła z szyi chustkę.

— Ot... tak sobie, — wyszeptała, poczem odechnęła swobodniej.

Teraz czuła się już całkiem dobrze, bo przecież sznur leżał z powrotem w kącie, a Heniek nic nie zauważył! Nie, nie, z pewnością nie widział! Anielka odczuła dlań nawet teraz pewną sympatję. Przemawiał do niej, jak przyjaciel, więc wyjaśniła z przyjazną szczerością:

— Wiesz, ostatnio jakoś rano spać nie mogę. — A potem pragnąc powiedzieć Heńkowi coś przyjemnego, pochwaliła: — Bardzo ładny parkan jest teraz w waszym ogródku! Od domu aż do drogi. Dlaczego nowy postawiliście?

Ale Heniek nagle spłonął rumieńcem, bo sądził, że Anielka chce mu dokuczyć. Piegowaty Zygmunt, który właśnie nadszedł, zaczął się śmiać do rozpuku.

— Tak, piękny parkan, co! Ale to nie Heniek go postawił, tylko Kacper Gałązka. Przecież już z rok chyba kłóci się z ojcem Heńka. Prawda, Heniek, że wasze kury zbyt często odwiedzały Kacpra? Ha, ha, ha! Teraz możesz sobie siedzieć na parkanie i okolicę oglądać! Przyjemny musi być taki widok. I ja muszę kiedyś wleźć na parkan i zajrzeć do izby Kacpra Gałązki. Ha, ha, ha!

Anielce było smutno i przykro. Heniek obrzucił ją gniewnym spojrzeniem. Głupio zrobiła, ale zupełnie tego nie chciała!... Odczuła ulgę, gdy sala fabryczna wypełniała się powoli robotnikami i Heniek dał jej wreszcie spokój. Dzisiaj wyjątkowo tęskniła za suchym warkotem maszyn. Praca rozpoczęła się jak zwykle, a zwój sznurów leżał na swoim dawnym miejscu. Mógł przecież spaść z okna, zawieruszyć się na czas pewien i teraz mógł go znowu ktoś znaleźć. Żeby tylko Magdzia prędko wyzdrowiała i zaczęła do fabryki przychodzić. Wówczas wszystko będzie tak samo pięknie, jak dawniej! Będą mogły znowu śpiewać i grać wieczorami i wszystko ułoży się jak najlepiej!

Myśląc o tem, Anielka znowu poweselała i było jej jakoś lżej na duszy. Śmiała się nawet serdecznie, gdy Basia, pracująca tuż przy niej, zaczęła gderać.

— Czekaj, czekaj! Jutro ci się odwdzięczę! Przez ciebie dzisiaj spóźniłam się do fabryki, ty

obrzydliwa! Więcej już nigdy czekać na ciebie nie będę!

Anielka otworzyła usta, aby wytłumaczyć się przed Basią.

Pasy rzemienne przesuwają się od podłogi do sufitu, maszyny warkotały w takt jednej i tej samej melodji. Tak samo, jak codziennie! Najpiękniejsza muzyka nie sprawiałaby dzisiaj Anielce takiej przyjemności, jaką odczuwała, słuchając warkotu maszyn.

Najcenniejsze kawałki aksamitu, jakie posiadała, wyciągnęła teraz z kieszeni i położyła w milczeniu przed Basią. Na ten widok twarzyczka Basi rozjaśniła się nagle i Basia zaśmiała się, podziękowała Anielce, poczem zwierzyła jej się że przerażona jest ogromnie, gdyż w niedzielę musi pójść do wyrwania zęba. Anielka współczuła jej z głębi serca i obiecała, że z nią pójdzie.

Dziewczynki były już znowu serdecznemi przyjaciółkami, gdy nagle Gieńka Szczypiorówna zawołała na całą salę:

— Sznur się znalazł! Nawet dwa zwoje! Ktoś musiał podrzucić! Wczoraj ich przecież tu nie było! Ale kto?... Kto?..

— Heniek kulawego skrzypka przecież tu nie był, — bronili chłopca jego przyjaciele. — Wyszedł razem z nami z fabryki, a później razem z nami wrócił. Niema co, on nie podrzucił sznura!

Jedni podejrzliwie spoglądali na drugich, a wszyscy szeptali:

— Któż to mógł zrobić? Kto?..

— W samą porę złodziej sznur zwrócił, —

syknał majster Anielki o żółtej pomarszczonej twarzy ze swego wysokiego stołka. — Dzisiaj policja miała rozpocząć rewizję.

— Kto... kto tutaj mógł być?

Przez całe przedpołudnie pytanie to było na ustach wszystkich. Nikt się nie przyznał.

Gdy Anielka od dwunastej w towarzystwie Basi szła do domu, w pewnej chwili obejrzała się nagle lekliwie. Przed bramą fabryki stał Heniek kulawego skrzyпка, otoczony gromadką dzieci. Co mógł im opowiadać? Przecież napewno nic nie wiedział! Nikogo nie wolno było posadzać. Ach, żeby ten dzień już minął! Żeby w tej fabryce o czemś innym zaczęto mówić!

Basia zupełnie nie zwróciła uwagi na to, że Anielka przez całą drogę milczała. Sama nie przestawała mówić i ani na chwilę nie zmieniała tematu:

— Ale kto? Wiesz, może to Gieńka podłożyła. Dlaczego właśnie ona znalazła ten sznur na oknie? Całkiem możliwe, że to ona. Ja jej tam nie wierzę. Albo... jak myślisz...

Anielka odetchnęła z ulgą, gdy się wreszcie pożegnały. Radość jej mroziły ciągle zapytania na ten temat. Prostu nic już prawie z tej radości w serduszkach Anielki nie zostało. Zamiast radości zrodziła się teraz na samym dnie duszy niepewność. Czy ktoś wiedział o tem, co uczyniła? Czy postąpiła dobrze? Co będzie dalej?

Nowe światło.

Tego dnia Anielka zносиła formalne katusze. Gdziekolwiek się obejrzała, dostrzegała wszędzie poważne, zasepione twarze. Gdziekolwiek stały dwie osoby, była pewna, że rozmawiają o niej. Widocznie Heniek musiał wszystko widzieć i rozpowiedział o tem po fabryce! Teraz już wszyscy wiedzą i podejrzawają... ale to przecież nieprawda! Przecież Anielka sznura nie zabrała! Głupcy! Żeby wiedzieli, co Anielka o nich myśli! Niech ktośkolwiek ośmieli się do niej podejść i powiedzieć coś na ten temat!

Gdy jedna z dziewczynek przystanęła na chwilę przy maszynie Anielki, ta odezwała się ze złością:
— Czego tak patrzysz? Pierwszy raz mnie widzisz?

Zmieszana dziewczynka nie mogła tego pojąć; przecież Anielka zawsze ją bardzo lubiła. Zarumieniła się, przerażona i odpowiedziała:

— Niemądra jesteś! Też coś nowego! Wcale ci się nie przyglądałam!

— Anielce zrobiło się przykro. Zupełnie samą wlokła się wieczorem za innymi dziećmi do domu. Matka też jej się w obiad tak jakoś dziwnie przyglądała. Ach, oby nigdy lepiej nie widziała tego nieszczęsnego sznura! Oby lepiej wrzuciła go do rzeki! Nagle przystanąła. A skąd się wziął ten drugi zwój na oknie? Kto go mógł przynieść? I kiedy? Anielka uczuła nagle, że w tem swoim przewinieniu nie była zupełnie sama. Któż mógł być jeszcze? Czy tamten także nie wiedział, że sznura nie wolno zabierać do domu? Czy także ogarniało go takie przerażenie? Ale... teraz było już wszystko dobrze. Przecież obydwaj zwoje znalazły się z powrotem w fabryce.

Anielka na myśl o tem zaczęła się uspokajać. Przecież odnoszenie rzeczy zabranych nie było grzechem. Przecież kiedyś trzeba je odnieść. Wobec tego wszystko w porządku. Ucieszyła się nawet, że to uczyniła. Może Magdzia z wielkiej radości wyzdrowieje! Oby tylko jak najprędzej wróciła do fabryki!

I zapominała Anielka coraz bardziej, że przed chwilą była zmartwiona. Gdy wchodziła do domu, oczy jej płonęły już jasnym blaskiem. Pośpiesznie zajęła swe miejsce przy stole i sięgnęła po łyżkę. Połowa placzków kartoflanych była już zjedzona.

— Kto na czas nie przychodzi... — triumfował Stasiek i szybkim ruchem chwycił kilka placzków z półmiska.

— Ej, ej, — awołała matka, — już swoją porcję dostałeś! Anielka też ciężko pracowała.

— Ale nie tyle, co ja! — odciął się Stasiek. —

Wesoło było dzisiaj przy zwiżaniu cygar. Stefek Karaś wściekł się poprostu, gdy mu Marysia dwa cygara zabrała. Biegał za nią po całej sali.

— Tak, tak, — potwierdziła Lodzia.

Lodzia codziennie po szkole w tej samej fabryce, co Stasiak uczyła się zwiżać cygara. Nie było to takie łatwe, bo liście ogromnie się łamały.

— Zawsze najzabawniejsi są Stefek i Marysia, — zaśmiała się. — Niema dnia żeby się nie kłócili. A tacy sami są mali, jak Śpiewaczek i jego żona, chociaż lat już mają sporo. Szkoda, że nie będą mogli się pobrać. Są przecież rodzeństwem.

— Ja także się z tobą nie ożenię, — podchwycił Stasiak. — Ja...

— Myślisz, żebyś cię chciała! — oburzyła się Lodzia. — Dopiero dzisiaj popsuteś trzy cygara, dobrze widziałam!

— Ach, ty...

— Ej, ej! — wtrąciła matka. — Widzę, że niebardzo jesteście zmęczeni. Stasiu, mógłbyś jeszcze narąbać drzewa, ale weź latarnię. Ty, Lodziu, zacerowałabyś sobie lepiej wełniane pończochy.

— Czy mogę wpaść na chwilkę do Magdzi? — prosiła Anielka. — Napewno niedługo wrócę.

Nim jeszcze matka zdążyła coś odpowiedzieć, Anielka była już w sąsiedniej izbie, dokąd wbiegła po czysty fartuszek. Magdzia napewno na nią od dawna czekała. Prędko, prędko!

Poczęła biec najkrótszą drogą przez strumyk. Stapała pewnie po zeschniętych liściach, które jesienny wiatr postrącał z drzew. Na powierzchni spokojnej wody pływały również zeschnięte liście,

jeden za drugim. Anielka przystanąła na chwilę, spoglądając wgląd rzeki. Raz, przed wielu laty udało jej się złowić żywą rybę. Bez wędki, ot tak poprostu rękami. Chciałabym jeszcze kiedyś spróbować! szepnęła tęsknie, idąc dalej.

Gdy zapukała do drzwi chaty grubego szewca, z wnętrza usłyszała przyciszony głos:

— Proszę wejść.

A potem nagle okrzyk radosny:

— Ach, Anielciu, przyszedłaś! — Magdziła podniosła się z ławki przy piecu. — Jestem sama, matka poszła do sąsiadów, — dodała szeptem. — Ciągłe na ciebie czekałam, Anielciu. Chodź, usiądź tu przy mnie blisko... Zaniostaś sznur do fabryki? A nikt nie wiedział, Anielciu? Napewno nie?

Oczy Magdzi miały taki wyraz błagalny, że Anielka mimowoli potrząsnęła głową.

— O, jaka ja jestem teraz szczęśliwa! — zawołała Magdzia. — Nigdy, nigdy już nic nie zabiorę do domu... Ale słuchaj, nie powiesz o tem nikomu na świecie, Anielciu. Nie powiesz nawet, gdy będziesz dorosła. Przymknij.

Magdzia usiadła znowu na ławce i przymknęła oczy.

— Dziękuję ci serdecznie, Anielciu, — wyszeptowała po chwili. — Będę zawsze twoją przyjaciółką... Teraz już napewno szybko wyzdrowieję. Jestem jeszcze tylko zmęczona... taka zmęczona... Pomyśl, Anielciu, dzisiaj mój prawdziwy ojciec znowu przysłał list z Ameryki. Ma przyjechać na wiosnę i zabrać mnie z sobą. Będę jechała przez duże morze i wszystko zobaczę. Na wiosnę, gdy

kwiaty... — Magdzia nie mogła dalej mówić. Kaszlała i kaszlała, śmiejąc się jednocześnie. — Jak będziesz chciała, Anielciu, to możesz zamiast mnie pojechać, — ciągnęła po kilku minutach dalej. — Przecież zawsze pragnęłaś jechać do Ameryki. A może ojciec zabierze nas obydwie. Zapytam go! To byłoby cudownie! Ach, Anielciu! — Magdzia trzymała chłodną dłoń Anielki obydwoma rękami. — Jak po raz drugi tu przyjdiesz, przynieś ze sobą mandolinę, — prosiła. — Już tak dawno nie słyszałam twego śpiewu!... Jeszcze raz ci dziękuję... Będę teraz spokojnie spała! Dobrej nocy, Anielciu... Jestem taka szczęśliwa! Dobrej nocy...

Gdy Anielka znalazła się z powrotem na wąskiej ścieżce, wyczuła nagle pod palcami coś twardego w kieszeni fartuszka. Cóż to było? Kawalek tektury? W blasku księżyca rozpoznała Anielka po chwili prześliczne szklane kolczyki, które Magdzia kupiła sobie na ostatnim jarmarku. W smudze światła, padającego z okna Kacpra Gałązki, odczytała treść karteczki:

„Kochanej Anielci z podziękowaniem!”

A w rożku kartki maleńkimi literkami:

„Wolno mi podarować ci te kolczyki. Matka wie o tem.”

I znowu Anielce zrobiło się ciepło na serduszku. Podzielała radość Magdzi, umacniając się w przekonaniu, że spełniła dobry uczynek. Niech teraz będzie, co chce! Do jutra napewno wszyscy o tem zapomną. Jutro Anielka będzie mogła na-

wet koleżankom pokazać swe kolczyki, tylko matka musi jej uszy przekłuć. Już oddawna, bardzo dawna marzyła o takich kolczykach. Przepelniona nadzieją i radością, puściła się Anielka naprzelaj przez łąki do domu.

Ale nazajutrz zdarzyło się coś, dzięki czemu Anielka nawet o kolczykach zapomniała, a cała fabryka zapomniała o podrzuceniu nieszczęsnego sznura.

Julek-Postrach.

Niby zaproszona iskra, rozniosła się nagle po wsi wiadomość:

— Julek-Postrach grasuje w okolicy. Julek-Postrach! Włamywacz! Podpalacz!

Jedni o nim słyszeli, inni widzieli go nawet. Ci czuli już dym w oddali, tamci znów widzieli krew. Cała wieś narzekwała i jęczała z przerażenia:

— Julek-Postrach powrócił! Grasuje w okolicy!

Po pracy w fabryce, dorośli i dzieci zebrali się w wielką gromadę. Za żadne pieniądze nikt samotnie nie poszedłby do domu. Wyjmując z kieszeni chleb, Anielka przez nieuwagę wyciągnęła kolorowy obrazek Matki Boskiej, który uważała za swój talizman. Właśnie wówczas, gdy Basia z Emilką Stasiakówną o czemś szeptały, Kasia Stelmachówna ów obrazek im pokazała. Pochodził on z dalekiego miejsca pielgrzymek. Podobno przynosił każdemu szczęście, trzeba go więc było troskliwie przechowywać, a tymczasem zapomniany i zgnieciony leżał na ziemi. Przestrach na wiadomość o znajdującym

się w pobliżu włamywaczu, poplątała Anielce zupełnie wszystkie myśli. Wraz z innymi robotnikami śpieszyła w stronę domu. Każdy cień ją przerażał. Cóż to było? Czyżby Julek-Postrach?

— Umarłabym chyba ze strachu! — szeptała Emilka.

— Chodźmy!

Coś czarnego wyłoniło się z mroków.

— Czekajcie! Nie zostawiajcie mnie samej!
—jęczała Basia. — Tak się strasznie boję!

Na początku wsi gromadka się rozproszyła.

Anielka lękała się najbardziej tego, że drzwi chaty mogą być zamknięte. Pchnęła je i wpadła do izby.

— Mamusiu! Mamusiu!...

Ale Stefek miał już świeższe wiadomości:

— Dzisiaj na noc zamkniemy drzwi na wszystkie rygle. Elżunia od sklepikarza widziała Julka-Postracha! Pomyśl, na własne oczy widziała! O, ona jest nie głupia! Napewno się nie omyliła! — I Stefek usiadł z powrotem na ławce przy piecu.

Dopiero teraz Anielka dostrzegła na ziemi duży otwarty kosz handlarki wędrowniej. Po chwili handlarka w swej czerwonej chustce weszła za matką do kuchni.

— Tak, — mówiła do matki, — co do tej chusteczki z frendzlą, to moglibyście ją wziąć dla Amelki. Przyda się dla każdego dziecka na niedzielę.

Roztrząsnęła w powietrzu wzorzystą chusteczkę i tak zręcznie zarzuciła ją Łodzi na szyję, że chusteczka połyskiwała teraz wszelkimi kolorami.

— Mam także tłuszcz do włosów w butelkach, cudowny balsam, nici, bawełnę i sznurowadła Mam świętą maść na rany i śliczną sakiewkę na pieniądze.

— To nam zupełnie niepotrzebne będzie, jak Julek-Postrach zajrzy do nas, — odpowiedziała matka.

Jakby na komendę, spojrzenia wszystkich zawisły na drzwiach. Ktoś pukał. Któż to mógł być? Po chwili do izby weszła babcia, na szczęście tylko babcia! Anielka odetchnęła. Za babcią ukazała się na progu żona powoźnika i stara Franciszka z sąsiedztwa.

— Dobry wieczór! — zawołały. — Człowiek boi się wyjść z domu. Czyście już słyszeli? Julek-Postrach grasuje w okolicy!

— Mnie tam niewiele będzie mógł zabrać, — zaśmiała się Franciszka, — napewno wie o tem. Zresztą on tylko na bogaczy leci. Powiadają, że biednym to nawet pomaga.

— Macie rację, — podchwyciła z zapalem handlarka. — Pod Małą Wsią, w maleńkiej lepiance mieszka stara kobieta. Dopiero dwa tygodnie temu u niej byłam. Już nieraz mi ona opowiadała, jak parę lat temu znalazła pod oknem pięć złotych. Z pewnością nikt inny tego nie podrzucił, tylko Julek-Postrach. Ta kobieta bardzo go chwali.

— Ale tajemniczy z niego człowiek, — zaśmiała się znowu Franciszka. — Podobno widział go ktoś dzisiaj we wsi. Ma czarną brodę i nosi długi płaszcz. Dopiero przed chwilą opowiadał mi Kacper Gałązka.

— To może i ja go spotkałam, — wtrąciła babka Anielki, poprawiając swój jedwabny czepek. — Jakiś mężczyzna pomógł mi w lesie dźwigać kosz. Miał czarną brodę i ciemne oczy. Spotkałam go, jak przystanąłam na chwilę, żeby odpocząć. Góra z górą się nie zejdzie... ha, ha, ha!

— To napewno Julek-Postrach! — zawołały kobiety jednogłośnie. — Napewno on! Zaryglujcie dzisiaj drzwi na noc, bo przecież grasuje gdzieś blisko!

Obydwie kobiety prędko załatwiły swe interesy z handlarką, tylko żona powroźnika od progu jeszcze zapytała handlarkę o środek na zapalenie oczu. Właściwie w tym celu tutaj przyszła.

— Powiem o tem znachorowi w naszej wsi, — obiecywała handlarka. — Napewno przyśle wam jakąś cudowną maść. Ale maść tę trzeba koniecznie trzymać w ciepłym miejscu.

Anielka wciąż w milczeniu przyglądała się babce. Babka widziała Julka-Postracha i jakoś wcale go się nie bała!... Podobno był nawet dla niej bardzo grzeczny, a przecież opowiadano o nim tak źle, co widocznie nie było prawdą. Przez chwilę Anielka czuła dziwną sympatję do Julka-Postracha. Ale potem przerażenie wróciło. Nie, nie, wolałaby go nie spotkać! O nie! Anielka w głębi duszy podziwiała babcię.

Zarówno Anielka, jak i całe rodzeństwo uradowali się ogromnie, że tej nocy w kuchni na ławce miała spać handlarka. Mimo to jednak drzwi uważnie zamknięto i zaryglowano.

Mało ludzi we wsi spało dobrze tej nocy. Każdy szmer wzbudzał ogólne przerażenie. Czyżby to Julek-Postrach? Co?

Na placu targowym.

Bogu niech będą dzięki! Niby wicher przemknął Julek-Postrach przez wieś, nigdzie po drodze nie zawadzając. Odetchnięto swobodniej. Niebo zajaśniało znowu, znowu zaczęto mówić o zupełnie innych rzeczach.

Na placu targowym pulchniutka Wojciechowa poprawiła czepek na głowie, związała mocniej tasiemki i z zapalem poczęła przestępować z nogi na nogę.

— To napewno prawda, — oświadczyła swym słuchaczkom. — Żona grubego szewca sama mi dała ten list do rąk. Inaczej nie wierzyłabym jej ani słowa. Nie, nie, dobrze jeszcze pamiętamy tę historję z drzewem, co? Ale co to ja chciałam powiedzieć... Więc Henryk Rymarz znowu pisał. Pisał z Ameryki! Pamiętacie go chyba, moje drogie, jak mieszkał z matką na granicy Wólki! Ożenił się z tą małą Helenką z Małej Wsi. Po roku przyszła na świat Magdzia, która teraz jest na mieszkaniu u grubego szewca. O mało nie zawar-

ował biedny Henryk, jak mu młoda żona nagle umarła. Spakował zawiniątko i ruszył w świat. Tak, tak... — Pulchniutka Wojciechowa poprawiła znowu sobie czepek. — Dwanaście lat od tego czasu upłynęło. Ciężkie życie miała babka z małością. Przecież wszyscyśmy to widzieli! W żadną niedzielę nie mogła przyjść na czas do kościoła, bo musiała dzieciaka pilnować. Jeszcze teraz pamiętam, jak mówiła: „Trudno, praca jest pierwsza nawet, niż modlitwa“. Tak, zawsze tak mówiła! Co jej teraz biedaczce z tego Henrykowego listu? W ziemi leży dawno, a dziecko, ta biedna Magdzia też chora! Nic z niej nie będzie. Z włosów jest podobna do nieboszczki matki. Dopiero zdziwi się Henryk na wiosnę. Dopiero otworzy oczy. Ze swoją młodą żoną chciał odwiedzić wieś rodzinną i zabrać dziecko. Boże! Żeby wiedział u kogo jego córka przebywa, z pewnością pierwszym pociągiem przyjechałby z Ameryki! Kto wie, co było powodem choroby matki, mówiono ogólnie, że gruby szewc jest bardzo skąpy i dziewczynki zbyt dobrze nie odżywia. Ci podli ludzie za dużo chcą na dziecku zarabiać.

Pulchniutka żona Wojciecha niepokoiła się i wymachiwała rękami, a w pewnej chwili zawołała:

— Czy to nie Anielka Lipkówna z Basią Matysiakówną wchodzi tam do domu szewca Roszczyka? Tak, tak, to one. Naturalnie! Czy słyszałyście, panie? To także prawda... — Wojciechowa nagle urwała, zachwiała się i zawołała ze złością: — Dajcie spokój! Moglibyście się wstydzić! Prześcieńcie...

Ale Kacper Gałązka śmiał się jeszcze głośniej.
— Myślałem, że trzeba wam stołek przynieść,
— mówił, dusząc się od śmiechu. — Przecież wy możecie tak gadać do nocy, a zmęczylibyście się bardzo tem staniem. Wszystko widzicie i wszystko słyszycie! Spocznijcie sobie, co?

Pulchniutka Wojciechowa zatrzepotała rękami, jak ryba wyjęta z wody.

— Mamy i takich we wsi, o których nic się człowiek dowiedzieć nie może, więc nie martwcie się, że kogoś obmówię, panie Gałązka! — syknęła. Odwróciła się z wściekłością na pięcie i opuściła plac targowy, znikając w wąskiej uliczce.

— Że też Julek-Postrach takiej ze sobą nie zabrał! — zaśmiał się stary Mateusz, gładząc swą długą brodę.

— Dopłaciłbym mu chętnie do tego, a na dokładkę dostałby wianek kiełbasy, — dorzucił Kacper Gałązka.

Raz tylko jeden zdecydował się Gałązka wybrać na połów ryb i na nieszczęście spotkał pulchną żonę Wojciecha. Po pół godzinie cała wieś wiedziała, że Kacper łowi ryby! Ale zirytował ją teraz tym stołkiem. Kacper Gałązka był bardzo z siebie zadowolony. Pogwizdując, wszedł do swego ogródka i zapalił fajkę. Udało mu się! Pulchna Wojciechowa przez cały dzień będzie chodzić zagniewana. Kacper Gałązka roześmiał się i zatarł z radością dłonie.

U dentysty.

Anielka i Basia z okna izby szewca Roszczyka spoglądały na Kacpra Gałązkę, biegnącego tam i napowrót po swoim ogródku i śmiejącego się głośno.

— Wiesz, on chyba ma źle w głowie, — szepnęła Basia. — Spójrz, Anielciu! Teraz znowu się śmieje.

Ale Anielka była właśnie w trakcie opowiadania:

— Już może pojutrze będę mogła włożyć te kolczyki od Magdzi. Prześliczne są! A jak pięknie błyszczą!

— Czy cię bolało, jak ci uszy przekłuwali? — zapytała Basia.

Anielka potrząsnęła głową:

— Trzeba tylko mocno zacisnąć zęby. Amelka podłożyła mi korek pod ucho, a mama przekłuła igłą. Zobacz, Basiu, czy czarny jedwab w uszach mam jeszcze, czy mi nie wypadł? Teraz uszy powinny poczerwienieć i spuchnąć, a jak to minie,

— Jedwab się wyjmie i włoży się w dziureczki kolczyki. Nie mogę się już tego doczekać!

Basia spoglądała na Anielkę z milczącym podziwem, poczem znowu chwyciła się za policzek i jęknęła:

— Ach, jak boli! Chyba mam wrzód pod zębem! Strasznie się boję! Wyrwanie musi okropnie boleć! Ale powiedziałam szewcowi, że jak będzie bolało, to mu nie pozwolę zęba wyrwać!

Właściwie Józef Roszczyk dzisiaj, przy niedzieli nie był żadnym szewcem. Niski stołek, warsztat, narzędzia i stare buty przyniesione do łątnia, wszystko odpoczywało w najdalszym kącie izby. Szewc Roszczyk był dzisiaj golarzem i w białym kaftanie stał pochylony nad jakimś wieśniakiem, mydląc mu twarz i ostrząc brzytwę na pasku. Podczas tego wciąż coś opowiadał i śmiał się.

— Tak, tak, żona Kacpra Gałązki znana jest ze swej czystości, czyście nie zauważyli? Najmniej raz na miesiąc wyjmuję z komina swój woreczek z pieniędzmi, pierze go, a monety czyści miękkim gałgankiem, aby się błyszcząły. Zawsze ją widzę przez okno, jak wyciąga woreczek z pieca. Kacper Gałązka znany jest w całej wsi ze swego bogactwa i sknerstwa. Był u mnie dopiero wczoraj wieczorem. O, widzicie! Dostałem od niego pół złotego. Okazja, co? Ha, ha, ha! Całe szczęście, że Julek-Postrach o tem nie wiedział, bo napewno złożyłby Kacprowi wizytę. Jak myślicie, co? My byśmy tam z tego powodu nie płakali! Ha, ha, ha!

Obydwa wybuchnęli głośnym śmiechem. Jeden kępał drugiego po ramieniu; radości i nagłe

obydwaj dostrzegli dziewczynki, siedzące na ławce przy kominie.

— Ach! — przypomniał sobie szewc Roszczyk. — Zupełnie o was zapomniałem. Ale teraz już jestem wolny.

— A co tutaj robią te dzieciaki? — zdziwił się wygolony już pięknie wieśniak. — Czy także się chcą ogolić?

Anielka i Basia zachichotały i przytuliły się do siebie główkami, po chwili jednak Basia lękliwie zwróciła się do szewca.

— Musicie mi ten ząb wyjąć, — rzekła, — ten od tyłu, ale... ale...

Wieśniak wychodząc już, pociągnął Anielkę za kędzierzawe włosy i rzekł:

— Anielciu, właśnie opowiadałem Roszczykowi, jak to pięknie ze strony Julka-Postracha, że odniósł do fabryki te dwa zwoje sznurów, które ukradł! Cóż ci się stało? Dlaczego się tak czerwienisz? A może Julek-Postrach tobie kazał ten sznur odnieść? Ha, ha, ha! Nie martw się, Anielciu! Dlaczego nie miałabyś do domu przynieść chociaż kawałka sznura! Dowidzenia, panie Roszczyk, przyjemnej niedzieli!

Wieśniak stał już na progu, gdy odczuł nagle na sobie oburzony wzrok Anielki. Potem dosłyszał przyciszzone jej słowa:

— To nieprawda! Ja sznura nie brałam!

Wieśniak roześmiał się głośno:

— Bajbaju! Powiedz swojej babce! Tak, przecież wtedy we wsi grasował Julek-Postrach! Pewno to on się na ten sznur połaszczył! Ha, ha,

ha! Bądźcie zdrowi! — wyszedł, śmiejąc się, a Anielka padła bezsilnie na ławeczkę pod piecem. Dopiero podniosła głowę, gdy usłyszała głos szewca. Stał z obcęgami w ręku, a Basia z płaczem odpychała go obydwoma rękami.

— Jak strasznie boli, — jęczała, — już nie chcę więcej! Nie chcę wrywać zęba! Wogóle... nie wiem teraz który mnie boli! Napewno wszystkie!

A szewc posiniał z gniewu:

— Głupia jesteś! Wynoś mi się zaraz! Jeszcze czegoś takiego nigdy nie miałem w życiu! Myślałby kto, że ci głowę urywam...

Wówczas Anielka wstała ze swej ławeczki przy piecu i wraz z Basią wybiegła śpiesznie z izby szewca Roszczyka.

Znów o kradzieży.

Idąc wiejską drogą, Basia ciągle popłakiwała. Po kilku minutach jednak otarła łzy i rzekła:

— Nie pójde już więcej do szewca Roszczyka! Jak raz mojej babci wyrwał ząb, to po całej izbie ją ciągnął i nie mógł wyrwać. Nie, on mnie już więcej nie zobaczy. Wogóle zęba wyrwać nie pozwolę. Wyobraź sobie, Anielciu, że nawet nie czuję już bólu! Może mi się tylko zdawało, że mnie ząb boli! Ale co z tobą, moja droga? Ja wszystko wiem! Jak ci ten stary powiedział o sznurze, to najprzód zbladłaś, a potem się zaczerwieniłaś. Przyznaj, że tak było! Przecież to ty sznur zaniostaś do fabryki. Heniek kulawego skrzypka dobrze widział, jak go kładłaś na oknie!

— Nie, ale... — broniła się Anielka, — ja o wiele wcześniej przyszedłam od niego!

— Tak, a nie zarumieniłaś się, jak usłyszałaś o sznurze? I dlaczego wtedy byłaś owinięta chustką, przecież śnieg nie padał? Napewno sznur miałaś w chustkę zawinięty! Myślisz, że my nic nie

— wiemy! Wiesz, Anielka, że właściwie nie powinnaś tak kłamać. Tego się po tobie nie spodziewałam. Wogóle nie powinnam z tobą więcej chodzić. Nie ma się czego chwalić kolczykami, jak się z fabryki kradnie sznury!

Anielka oniemiała, czerwona, jak rak. Chciała biec za Basią i pociągnąć ją ze złości za warkocze, ale tamta zniknęła już za drzwiami swojej chaty. Skierowała się więc Anielka w stronę kościoła i po drodze natknęła się na małego Henia Matysiaka, który jej zawsze miał w niedzielę coś do opowiedzenia. Dzisiaj jednak Anielka ani na chwilę z nim nie przystanąła. Błękitne jej oczy tonęły we łzach... Przecież chyba po całej wsi to się nie rozniesie! Nie, nie! Magdzia koniecznie musi jej zwrócić dane słowo i to dzisiaj, zaraz popołudniu! Przecież nie może tak być, aby ją o kradzież posądzano, skoro w rzeczywistości nie ukradła.

Gdy pochylona nad miseczką zupy usiłowała zapomnieć o swoim zmartwieniu, usłyszała nagle głos Stefka:

— Mamo, piegowaty Romek mówił mi dzisiaj, że nasza Anielka ukradła w fabryce sznury, a potem, gdy się to wydało, podrzuciła je z powrotem.

— Co ty pleciesz! — przeraziła się matka, marszcząc czoło. — Nikt w naszej rodzinie nie był złodziejem! Przecież to byłaby dla nas hańba!

— Nie, mamo, ja naprawdę sznura nie brałam, — odezwała się Anielka, a oczy jej jaśniały taką szczerością, że trudno było słowom dziewczynki nie wierzyć.

Matka nic więcej nie powiedziała, a Stęfek także zamilkł. Po chwili Stasiek zaczął opowiadać o cyganach, którzy podobno rozbili obóz w dolinie. Dowiedział się o nich od małego Henia Matysiaka, który ich już podobno widział. Henio zawsze o wszystkim dowiadywał się pierwszy. Podobno widział cyganów po drodze wczoraj, gdy wracał piechotą z ojcem z miasta.

— Za kilka dni napewno będą u nas! — kończył Stasiek swe opowiadanie.

— O, już za kilka dni! — zawołały dzieci, skacząc z radości. Już teraz chciały wybiec z domu i rozejrzeć się. Przecież była niedziela!

Anielka cichaczem zbliżyła się do drzwi od podwórza. Było jej bardzo smutno. Nie mogła się cieszyć wraz z resztą rodzeństwa. Teraz pragnęła nadewszystko pójść do Magdzi. Ale z Magdzą też nie można mówić o sznurze, bo gotowa się jeszcze bardziej rozchorować. Nie, nie! Magdzia musi wyzdrowieć i jak najprędzej wrócić do fabryki...

Przez całą drogę Anielka o niczem innem myśleć nie mogła. Gdy stanęła u drzwi chaty grubego szewca i ujrzała chorą przyjaciółkę kiwającą do niej przez okno, wszystkie osobiste zmartwienia pierzchły z jej serduszka w jednej chwili. Stanowczo nie wspomni ani jednym słowem o sznurze. Przecież znowu tak wiele przykrości na ten temat nie zaznała. Teraz widziała już tylko uszcześliwioną, śmiejącą się twarzyczkę Magdzi.

Z samego rana szewcowa podsunęła łóżko Magdzi do okna.

— Dzisiaj napewno przyjdzie Anielka, — zapewniała ją Magdzia, a gdy przyjaciółka ukazała się na progu, Magdzia wyciągnęła do niej obydwie ręce na powitanie. Wielkie jej oczy świeciły znów, jak gwiazdy.

— Jak to dobrze, że tak wczesnie przysłaś! — radowała się. — Patrz, tę kołdrę kupiliśmy za pieniądze otrzymane od ojca z Ameryki! — Mówiąc to, Magdzia pieszczotliwie pogładziła miękki materjał. — Przykrywam się nią tylko w niedzielę, i pomyśl, Anielciu, jak wyzdrowieję, to znowu będziemy grały na mandolinie. Ach, strasznie już za tem tęsknię. Dobrze, będziemy grały razem, bo napewno ja niedługo już wstanę. — Magdzia uśmiechnęła się wesoło i opadła zmęczona na poduszki. Po chwili wsunęła rękę pod poduszkę i zwróciła się do przyjaciółki: — Zamknij oczy, Anielciu, to ci coś pokażę... Teraz otwórz!

Magdzia wysunęła rękę z pod kołdry i pokazała Anielce tę samą koronkę szydełkową, którą kiedyś robiła. Ale jakaż ona była już długa!

— Tę koronkę robię dla ciebie, — rzekła z roziskrzonymi oczami. — Za każdym razem, jak przychodzisz, jest o wiele dłuższa. Podoba ci się? Powiedz!

Anielka poprostu nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Serduszko jej biło mocno na widok radości Magdzi, biło mocno i poprostu wyrывało się z piersi. Pragnęła znowu śmiać się i cieszyć, bo nie widziała już na świecie żadnych przykrości, żadnych zmartwień. Magdzia opadła na poduszki, lecz twarzyczka jej rozjaśniona była ciągle uśmiechem.

Drzwi się otworzyły i do izby weszła szewcowa, a za nią stara Agata. Szewcowa otarła ukradkiem łzy i trąciła Agatę, żeby nic nie mówiła. W tej samej chwili Magdzia usiadła na łóżku i rzekła:

— Matko, koronka bardzo się podoba Anielci! Teraz zrobię jej jeszcze ładniejszą! A, dzień dobry Agato, przysłiście, żeby mnie odwiedzić?

Stara kobieta kiwnęła głową w zamyśleniu, jak ktoś, komu ważne myśli przebiegają przez głowę. Potem rozejrzała się po izbie i usiadła na niskim stołeczku przy piecu.

— Można tu usiąść, prawda? — zapytała grzecznie.

Jak każdej niedzieli od wielu lat, tak i dzisiaj, stara Agata wyjęła z pod chustki zniszczoną mandolinę o dwóch strunach tylko i poczęła śpiewać swą ulubioną pieśń, którą śpiewała zawsze od niepamiętnych czasów. Jak każdej niedzieli, tak i dzisiaj starej Agacie poczęły spływać łzy po policzkach, lecz śpiewała dalej, bo zazwyczaj śpiewała tylko przy święcie, cały tydzień bowiem pracowała, przędąc na swym kołowrotku. Ludzie przeważnie śmieli się ze starej Agaty, ale Anielka i Magdzia zawsze słuchały jej pieśni, połykając ukradkiem łzy.

Dopiero, gdy mrok począł zapadać i Magdzia była już bardzo zmęczona, przyjaciółki rozstały się z sobą. Anielka wyszła na wiejską drogę z roziskrzonymi oczami, jakby ktoś nowe światelko w duszy jej zapalił. Serduszko jej było dla wszystkich otwarte. Gotowe było przyjąć wszystkich i ból

każdego ukoić. Byleby tylko nie iść teraz do do-
mu! Nagle dostrzegła Anielka światło za stodołą
Szymczyków. O, z pewnością był tam Henio Ma-
tysiak! Napewno! Znowu opowiadał wiejskim chłop-
com swe ciekawe historje. Zawsze zbierali się tam,
gdzie ich nikt nie widział, zawsze mieli jakieś ta-
jemnice! Henio znał przeróżne historje o Indja-
nach! O tem wszyscy wiedzieli i Anielka zapragnęła
też raz opowiadań Henia posłuchać. Już oddawna
myślała o tem. Serce zabiło jej mocniej. Tak,
o tak! Cichaczem podsunęła się pod ścianę sto-
doły i nagle cały świat zniknął jej z przed oczu.
Oparta o drewnianą ścianę, siedziała na mokrej
trawie, nie zdając sobie z tego zupełnie sprawy.

Amerykanin.

Tak, tam stał on, Henio Matysiak, zwany Amerykaninem, z płonącym wzrokiem i wyciągniętymi ramionami, taki zupełnie inny niż zwykle. Przydużonym głosem szeptał:

— Biały Jack poczołgał się pod drzewami na brzuchu, aby się przekonać, co robią Indjanie. Pst! Dwaj Indjanie siedzieli całkiem blisko na pieńku, trzymając w rękach tomahawki, strzały i łuki. Jack widział ich dokładnie. Srebrny księżyc ukazał się na niebie. Bezszelestnie, jak tygrysy, wysunęli się z zarośli inni Indjanie. „Musimy we śnie napaść blade twarze“, powiedział jeden, „rano nim jeszcze gwiazdy zgasną na niebie. Czarny Niedźwiedź tak kazał.“ A potem rzekł drugi: „Blade twarze zabierają nam pożywienie, blade twarze muszą umrzeć. Tak kazał Dziki Wilk.“ Później usiedli i wszyscy nic nie mówili. Jackowi ze strachu włosy na głowie stanęły dęba. Powoli począł się czołgać do obozu białych. „To my ładnie wyglądamy“, zawołał przyjaciel jego Bob. „Indjanie gotowi nas oskał-

pować! „Jeszcze nie“ zaśmiał się Tom, „najprzód rozpalimy ogień. Uważajcie.“

Biali ostrożnie zapalili zeschniętą wysoką trawę, która pokrywała wielką przestrzeń dokoła. Po niedługim czasie Indjanie ich napadli. Czerwone łby wściekały się ze złości. Dzień za dniem prześladowali białych. Raz, gdy tylko biali się zdrzemnęli, Indjanie napadli ich zniemacka. Jack walczył, jak lew. Bob był już cztery razy ranny, ale w walce nie ustawał. Indjanie z głośnemi okrzykami radości napadali na białych, niektórych wiązali i ciągnęli do swoich namiotów, Jack i Bob leżeli pod jednym dachem. Jack klął, Bob jęczał. Przed namiotami Indjanie rozpalali stos. Teraz zwiążą swych jeńców i usmażą.

„Ładna historia!“ narzekał Bob. W drugim namiocie też ktoś jęczał. Wówczas Jack szepnął: „Cicho bądź, Bob, przysuń się do mnie. Ukryłem w rękawie nóż. Wyjmij go. Przetnij moje więzy! Tak! Ale prędko! Teraz uważaj! Uwolnię cię ze sznurów! Prędko do innych! Pst! Wódz nadchodzi! Odszedł, dzięki Bogu. Tam pasą się dwa konie Indjan. Chodźcie, wskakujcie! Za mną! Za mną!“

W szalonym pędzie wrywali Indjanie za uciekinierami. Jechali przez błota i piaski. Jesteśmy zgubieni, pomyślał Bob. Konie nie chciały już iść dalej, a Jack walczył od kilku chwil z jednym z Indjan. Koń jego potknął się i nagle Indjanie zawrócili. Przed białymi, jak z pod ziemi wyrosły, stał bogato przystrojony Indjanin, o pięknej twarzy i dzikich połyskujących oczach.

„Brunatny Jeleń przybył ze swoimi dzielnymi

wojownikami, aby swych białych braci obronić," rzekł. Wówczas Jack odwrócił się, jakby oślepiiony błyskawicą. Wódz Siuxów! To był on! Przecież Jack mu kiedyś życie uratował. Teraz on mu przybył na pomoc! Najwyższa pora!

„Brunatny Jeleń dotrzymał słowa. Brunatny Jeleń będzie żył w zgodzie ze swoimi białymi braćmi," rzekł dumnie piękny Indjanin. „Naprzód, dzielni wojownicy, do walki!"

Henio Matysiak wyciągnął ramię, jakby sam był w tej chwili owym czerwonoskórym wodzem. Z piersi wszystkich chłopców dobył się okrzyk:

— Ach, szczep Siuxów! Siuxów! To są dobrzy Indjanie!

— Ja już o nich nieraz czytałem!

— Ja także czytałem śliczną historję o Indjance ze szczepu Siuxów. Nazywała się Biała Gołąbka!

— A ja czytałem o ich polowaniu i o tem, jak napadły ich niedźwiedzie. Podobno Indjanie przebywają ciągle w lesie i nie mają kalendarza. Wyczytują wszystko ze słońca i gwiazd. Bardzobym chciał być Indjaninem!

— Ja także!

— I ja! Ale mów dalej, Heniu! Opowiadaj!

Oczy Henia Matysiaka znowu zabłysły. Głos jego teraz był dziwnie tajemniczy. Przedstawiał chłopcom, jak to właśnie biali zawdzięczali swe życie zaprzyjaźnionym Indjanom.

— „Bądź błogosławiony, Sokole Oko,"—szeptał Henio Matysiak przyciszonym głosem.—„Daj mi

strzały i łuk, daj tomahawkę i fajkę, niech zabiorę je do grobu, bo Głowa Orła musi być ścięta.*

I Chłopcy jakby na komendę opuścili głowy. Anielce, która siedziała pod ścianą stodoły, dwie wielkie łzy spłynęły po policzkach. Spoglądała w ciemną przestrzeń i widziała w niej świat rzeczy dziwnych... Nagle przeraziła się. Chłopcy ze swoich miejsc wstali.

— Jutro zabawimy się w Indjan na polance w lesie, — postanowili. — Henio będzie naszym wodzem.

— Tak, tak, Henio! Będzie Brunatnym Jeleniem!

— A ja Czarną Panterą!

— Ja Rogiem Bawolim!

— A ja będę Orłą Głową! Każdy niech przyniesie ze sobą tomahawkę! Ja zabiorę lasso!

— Jutro! Jutro wieczorem, na polance w lesie!

— Orła Głowa!

— Róg Bawoli!

— Czarny Niedźwiedź!

— Czerwona Żmija!

— Dobranoc, dobranoc! — rozległ się szept wśród ciemności.

Cichutko, jak prawdziwi Indjanie, zniknęli chłopcy w zaroślach. Pozostała tylko przy stodole Szymczyków zapalona latarnia, którą dopiero po pewnym czasie zgasił stróż nocny, kiwając ze zdziwieniem głową.

Anielka szła za Heniem Matysiakiem, który wreszcie zniknął jej za drzwiami domu swych rą.

dziców. Przez chwilę stała na drodze. Henio Matysiak! Jakiż on był w gruncie rzeczy?

Mieszkał naprzeciw domu Styków. U siebie w domu nie nauczył się przecież Henio tych wszystkich ciekawych historyj, o nie! Pochodziły one od Golika i Nowiny. Henio więcej przebywał z tymi dwoma siwowłosymi karłami, aniżeli w domu. Pomagał Golikowi zbierać saletrę i czyścić ją, taką saletrę, którą się mięso naciera, zanim zaczyna się je wędzić. Golik handlował saletrą i właśnie ten sam Golik potrafił cudowne rzeczy opowiadać, szczególnie o słońcach i o polowaniu na bawoły. Można byłoby pomyśleć, że sam uprawiał takie polowania. Od niego to Henio prznosił te wszystkie wiadomości! Tak, tak, od Golika! Golik wiedział również bardzo dużo o Ameryce. Miał tam czterech wujów, a raz sam nawet z Nowiną związali tobołki i pożegnali rodzinną wioskę. Potem coś się takiego stało, że wrócili, choć płakali gorzko. Nazajutrz rano Nowina, jak zwykle, otworzył wspólny ich kramik, jakby już obydwaj szczęśliwie wrócili z podróży. Zresztą w podróży byli, tylko nie widzieli Ameryki! Ale cóż to szkodziło? Przecież jedną nogą byli już po tamtej stronie. Wujowie Golika pisali do niego bardzo obszernie. A to, czego w liście nie było, można sobie samemu dopowiedzieć. Henio Matysiak wysłuchiwał tych wszystkich historyj od Golika i znał je tak dobrze, jakby był jego rodzonym synem. Tak, trzeba przyznać, że Henio te opowiadania rozumiał jeszcze lepiej od innych chłopców. Nienapróżno wszyscy nazywali go Amerykaninem! Henio Matysiak na-

prawdę miał coś wspólnego z Ameryką, bo zaczy-
tywał się poprostu wszelakiego rodzaju książkami
o Indianach. Stróż nocny już nieraz pukał do Henia
w nocy, bo dziwiło go, że tak długo w izdebce Henia
widać światło. Chłopiec niejednokrotnie zwierzał się
Anielce, że często czyta książki do samego rana.
Dziwne. Tyle rzeczy wiedział i mógł chłopcom wiej-
skim coraz to nowe historie opowiadać. Skąd znał
tyle historyj? Gdzie je wyczytał? Anielka postano-
wiła go o to zapytać. Jutro! Jutro w fabryce.

Ach... jutro!

Ucieczka Anielki.

Jasne i czyste w swoim nieskalanym błękitcie zawisło w poniedziałek rano niebo nad doliną, z której unosiła się jeszcze leciutka nocna mgła. Zbudził się precudowny dzień jesienny. A jednak! Anielce jeszcze nigdy świat nie wydawał się taki szary. Jeszcze nigdy nie wstawała z taką niechęcią, aby pójść do fabryki, jak właśnie tego ranka. Nie przeczuwała nic dobrego... I słusznie!

Zaledwie znalazła się Anielka na ulicy, ujrzała już Basię, idącą w towarzystwie innych dziewczynek. Wszystkie dziewczynki jednak udawały, że patrzą w inną stronę i szeptały z sobą coś po cichutku. Marysia Jana Szymczyka udawała, że się gorszy:

— Niemożliwe, i tak bezczelnie to zrobiła, jakby o niczem nie wiedziała? Niemożliwe!

Anielka odrazu wszystko zrozumiała. Więc cała wieś wiedziała już o tem, więc wszyscy już mówili o zwoju sznurów. Może nawet do majstra to już doszło. Teraz, jak tylko przyjdzie do fabryki, majster ją do siebie zawoła:

— Anielka!

Z pewnością jej nie uwierzy, gdy mu nawet powie całą prawdę. Nikt nie uwierzy, że nie zabięła sznura. Wszyscy będą na nią dziwnie patrzeć, wszyscy będą szeptać:

— I teraz jeszcze kłamię.

Nikt nie pomoże. Nie! Nie!... Anielka pozostawała wciąż w tyle za idącymi śpiesznie dziewczynkami. Teraz weszły przez żelazną bramę. Zniknęły!

Z wieży kościelnej usłyszała bicie godziny szóstej. Przystanąła. Usta i oczy miała szeroko otwarte, serce biło mocno. I nagle łyzy poczęły ją dusić w gardle i jakiś przemożny, nieznanym zupełnie strach.

— Teraz zapóźno! Nie mogę już wejść do fabryki! Nie mogę! Teraz... ach... ach...

Nagle Anielka zaszlochała i wybuchnęła gorzkim płaczem:

— Wogóle do fabryki nie chcę więcej chodzić. Tam wcale nie jest tak pięknie! Nie, nie, już więcej nie pójdę! Nie poszłabym nawet, gdybym chciała. Nauczę się czegoś innego, czegoś, co jest o wiele ładniejsze! Tak, tak! Więcej tam nie pójdę!..

Jakiś wielki ciężar spadł nagle z serca Anielce. Nie, nie powinna tam pójść, zresztą wcale jej się nie chciało! Już lepiej na górę, do czystej tkalni.

Anielka poczęła tęsknie spoglądać za dwoma chłopcami, którzy gwizdząc wesoło szli piaszczystym gościńcem w stronę sąsiedniej wsi. Znała ich dobrze obydwóch. Przez dłuższy czas pracowali w jej ro-

dzinnej wiosce, jeden u Tomasza Gawryła, drugi u malarza Marcina. Teraz wędrowali dalej, mogli nawet po całym świecie wędrować i zatrzymać się, gdzie tylko chcieli, mogli przeżywać rozmaite ciekawe przygody! Och, jakie to szczęście! Tomasz Gawrył, też kiedyś włóczył się po całym świecie. Niejednokrotnie Anielka przysłuchiwała się, jak wieczorami na ławce z długą swą fajką, ciekawe historie opowiadał. Jak się nazywało to wielkie miasto, w którym Gawrył widział okręty? Prawdziwi żywi murzyni pracowali tam w przystani. Ach, tak, to miasto nazywało się Hamburg! Tam właśnie Tomasz Gawrył pracował. Musiało to być bardzo duże miasto i musiało się znajdować bardzo, bardzo daleko. Podobno Gawrył poszedł do Hamburga piechotą. Ale nie sam. Czasami wędrował z nim jakiś szewc, innym znów razem poznany w drodze ślusarz. Raz nawet podobno krawca jakiegoś poznał. Anielka uśmiechnęła się do siebie. Opowiadał, że pewnego razu zapukali do chaty bogatego gospodarza, prosząc o trochę zupy.

— Niech Pan Bóg opatrzy, sami nie mamy,— odpowiedziała im gospodyni i zastrzasnęła drzwi.

Wówczas ów krawiec ukradł gospodarzowi grubego prosiaka i uciekł z nim. Gdy dostali się do lasu, krawiec prosiaka zabił, rozpalili razem z Gawryłem ogień i prosiaka sobie upiekli. Pieczeń podobno była wyśmienita. Ile razy Tomasz Gawrył opowiadał o tem, słuchaczom szła ślinka do ust, a Gawrył śmiał się i śmiał się, że aż lzy nabiegały mu do oczu.

Tak, Tomasz Gawrył umiał opowiadać ciekawe

historje o szerokim świecie... Och, jakaż piękna musiała być taka wędrownka! Anielka miała teraz takie uczucie, jakby się nagle z głębokiego snu zbudziła. Zdziwiona, rozejrzała się dokoła i ujrzała nagle złociste liście na drzewach, ujrzała ciemną zieleń łąk i pól i usłyszała śpiew ptaków. A to wszystko odezwało się nagle głośnie echem w jej sercu i mimowoli podskoczyła radośnie, jakby właśnie dzisiaj pragnęła pójść z wiatrem w zawody.

Nagle pomyślała o matce... musi jej o tem wszystkim opowiedzieć. Chyba matka nie będzie miała nic przeciwko temu, jak się dowie, że Anielka więcej nie pójdzie do fabryki... Im dalej szła, tem jaśniej jakoś robiło jej się na duszy. Ostatnich zmartwień już prawie nie pamiętała. Widziała tylko tonący w blasku słonecznym gościniec, błękitne niebo i biegła tak szybko, jakby jakaś przemożna siła popychała ją naprzód. Tam, na pagórku, można było urwać trochę jeżyny. Szkoda, że nie miała z sobą koszyka. Ale można było również jeżyny zebrać w chusteczkę i zanieść do domu, albo też upleść koszyczek z wikliny. Chróstu też mi nie zabraknie, pomyślała Anielka, tam w lesie jest tego mnóstwo! Tak się do tej myśli zapaliła, że natychmiast poczęła zbierać jeżyny. Miała wrażenie, że jeszcze nigdy takich pięknych i soczystych jeżyn nie widziała.

W pewnej chwili przypomniała sobie jedną historję o Indjanach, którą opowiadał kiedyś Henio Matysiak. Czy to wszystko było prawdą? Henio opowiadał, jakby sam był Indjaninem. Jedna z Indjanek nazywała się Biała Gołąbka. A dzieciątko?

Czy Indianie mieli dużo dzieci? Anielka chętnie posłuchałaby jeszcze jakiegoś opowiadania o Indianach. Stanowczo musi kiedyś pożyczyć od Henia jakąś książeczkę, chociaż Henio wszystkie swe książeczki pożycza tylko chłopcom. Ale co mu da zato?

Usiadła na dużym pniu. Była trochę zmęczona, wyczerpana upałem i z otwartymi oczami zatonęła jakby we śnie.

— Czarna pantera... Biały Jeleń, — wyszeptała cicho.

A potem zdawało jej się, że istotnie znajduje się między Indianami, których głowy były przystrojone piórami we wszelkich kolorach.

Gdy Anielka się zbudziła, słońce kryło się już za lasem. Zerwała się, nie mogąc sobie przypomnieć, rozejrzała się dokoła i nagle minione przeżycia ukazały się jej oczom całkiem wyraźnie. Uczuła również dokuczliwy głód.

— Teraz pójdę do domu, — pomyślała.

Wtem nagle przestała głód odczuwać.

— Powiem całkiem zwyczajnie, że nie chcę włącej chodzić do fabryki, — uspokajała samą siebie.

Ale nie widziała już teraz złotych liści na drzewie, widziała tylko straszliwy lęk, lęk, czający się z mroków zapadającego wieczora. Z wiązką zebranego chróstu pod pachą, poczęła biec. Za każdym krokiem jednak serce jej stawało się coraz cięższe. Na jednym z pagórków, na samym szczycie, przypomniała sobie nagle, że niedawno powiesił się tutaj czarny Hipolit.

W lesie stawało się coraz ciemniej! Anielce

zdawało się, że słyszy djabelski chichot Hipolita, który ją goni. Zaczęła krzyczeć, upuściła swe jeżyny, cofnęła się i omal nie upadła ze strachu.

Tam... co tam było. W lesie dojrzała jakieś światło. Zabłąkał się tu widocznie ostatni blask promieni słonecznych. Tędy biegła droga do wsi. Ale poruszały się tam jakieś postacie! Dostrzegła wreszcie rozpalony ogień, a dokoła niego wielkie, przykryte płótnem wozy. Do wozów zaprzężone były konie. Wydało jej się to wszystko tak niezwykłe, że nie była pewna, czy śni, czy widzi to na jawie. Potem ujrzała jakiegoś mężczyznę w blasku palącego się ognia. Mężczyzna siedział z pochyloną głową. Później wstał i zaczął śpiewać przedudownym głosem. Ale nie sam śpiewał. Wkrótce zabrzmiały i inne głosy, a skrzypce poczęły zawodzić rzewnie i jakby milknąć w oddali.

W głowie Anielki zajaśniała myśl. Cygani! Smagli, czarnoocy Cygani, w pierścieniach i łańcuchach, w kolorowych chustkach i o białych, połyskujących zębach! Tak, to byli Cygani.

Zimny dreszcz przemknął po plecach Anielki. Nigdzie dokoła żywej duszy. Była sama, zupełnie sama. Cyganie mogli rzucić na nią czar. Przecież kradli dzieci! Potem te dzieci męczyli. Jakże teraz wydostać się z lasu? Musi przecież przejść obok cygańskiego obozu. Zapomniała już zupełnie o czarnym Hipolicie, o Indjanach i o świecie całym. Pojmowała wszystko dokładnie. Trzeba pożegnać się z matką, babcią, z rodzeństwem, z całą wsią. Wyobrażała sobie siebie, jako małe cyganiątko, okryte kolorową chustą, wędrujące po świecie

I żebrzące po obcych domach o chleb i mleko. Tak, już widocznie tak być musi. Anielka poczęła sobie zdawać z tego całkiem wyraźnie sprawę. Ach, mamó, babciu! Z szeroko rozwartemi oczami przysiadła Anielka na swojej wiązce chróstu. Skrzypce na polance leśnej zawodziły, szlochały, to znów śmiały się srebrzyście. Nagle ton tych skrzypiec począł się przybliżać i stawał się coraz głośniejszy, coraz bardziej wyraźny. Wraz z tą rzewną melodją zbliżać się poczęło do Anielki coś czarnego, pochylonego ku ziemi.

— Teraz!... Teraz mnie schwytają! — przebiegło Anielce przez myśl.

Zerwała się i wpatrzyła w pochyloną postać, a z piersi jej dobył się rozpaczliwy okrzyk:

— Precz! Precz!

Lecz postać pochylona upuściła zawiniątko, trzymane w ręce i donośny głos zawołał:

— Anielciu!

Babcia! Anielka cofnęła się, obejrzała, zaparło jej oddech w piersiach i nagle ujrzała tuż przed sobą jedwabny czepek babci. Co ona przez cały dzień robiła? Gdzie była? Własna jej wina urosła teraz do niezwykłych rozmiarów. Wewnątrz, na samem dnie serca wszystko się załamało.

Niby wielka grzesznica, wlokła się Anielka do domu, kryjąc twarz w fartuchu babki i szlochając gorzko:

— Babciu, ach, babciu!

Pogłoski.

Anielka nie zjawiła się w fabryce i na obiad również do domu nie przyszła, poprostu nagle zniknęła. Nikt jej we wsi nie widział, nikt nie wiedział, co się z nią stało. Wszyscy drżeli i niepokoili się coraz bardziej.

— Przecież ja nie byłam pewna, że ona ten sznur zabrała,— tłumaczyła się przerażona Basia, — powtarzałam tylko to, co mi opowiadał ten głupi Heniek. Sama nic nie widziałam. Nie możecie o to wszystko mieć do mnie pretensji!

— Ojej! — cygani rozlokowali się w lesie! — oznajmił Jakób Brzózka. — Jeżeli napatoczyli się na nią, to już więcej nie zobaczymy Anielki!

Jakób wypowiedział to poważnym głosem, dodając jeszcze jakąś straszną historję o tem, jak cygani ukradli dziewczynkę w wieku Anielki. Zabrali tę dziewczynkę do swego o bozu, zawiązawszy jej przedtem oczy, aby drogi nie widziała i zakneblowawszy usta, aby nie mogła krzyżeć. Potem ją podobno zaczarowali. Od tej pory nie mogła

już ani słowa wymówić, tylko wolno jej było śmiać się i płakać i musiała we wszystkich wsiach tańczyć, gdy cygani grali na swych skrzypczkach.

— Jabym tam Anielkę odrazu poznała, — wtrąciła rezolutna Gienka, — a wtedy zaczęłabym tak krzyżeć, że przybiegliby wszyscy z całej wsi i odbiliby ją cyganom.

— Może biedactwo musi tańczyć na linie!

— Może już oddawna cygani polowali na nią dlatego, że ma takie czarne loki!

— Tak, słusznie, — przypomniała sobie nagle Weronka Szymczykówna, — raz, jak szłam z Anielką do domu, jakaś cyganka nie dawała nam spokoju. Prawdopodobnie należała ona właśnie do tego obozu, który jest teraz w naszym lesie. Ach, biedna Anielka!

— Żeby jej tylko nie zabili!

— Wiesz, Basiu, ale ty nie powinnaś była okazywać tego wszystkiego Anielce! O tobie też dużo dałoby się powiedzieć. A w tę kradzież, to my zupełnie nie wierzymy!

Dziewczynki odwróciły się z pogardą, Basia zaczęła głośno wycierać nos, a Henio Matysiak zawołał:

— Powiadam wam, że dzisiaj strażnik przy drzwiach kaplicy złapał jakiegoś włóczęgę, którego jeszcze w życiu swoim nie widział. Miał dzikie, czarne oczy i czarne włosy. Wyglądał okropnie! Mruczał coś tylko, gdy mu strażnik kładł kajdany. To napewno właśnie był cygan. Chciał może okraść kościół i uciec do lasu. Strażnik opowiadał dziś rano, że go już przed kilku dniami widział w lesie.

Strasznie dużo włóczęgów chodzi po okolicy. Co można wiedzieć, w jakim celu się tu kręca!

— Ach, a Anielka jest tam zupełnie sama, — jęknęła Weronka, — kto wie, może ją jakiś włóczęga schwytał! Czy nie można byłoby przyrzec mu, czegoś pięknego w nagrodę, żeby ją tem samem wykupić? Tak, tak, włóczędzy potrafią i dzieci sprzedawać, jak w inny sposób zarobić nie mogą. Ach, biedna Anielka! Taka była miła! Ja ją najbardziej lubiłam ze wszystkich dziewcząt.

— Ja także!

— I ja!

— Może mam pójść dziś wieczorem do lasu, — zaproponował nagle Henio Matysiak, spoglądając z dumą na chłopców i dziewczynki.

— Do lasu! Dzisiaj! Ty sam! — odezwały się ze wszystkich stron okrzyki przerażenia.

Cała wieś wiedziała, że wśród pagórków w lesie nocowali wszyscy włóczędzy. Niktby się tam pójść nie odważył, bo każdemu chodziło o własne życie.

— Tak, tak, — postanowił Henio Matysiak, — pójde do gospodarza oberży złodziejskiej, temu żaden włóczęga nie odważyłby się wyrządzić krzywdy. Jest on najzupełniej bezpieczny. Jeżeli jakiś złodziej chce w jego oberży przenocować, musi mu najprzód oddać wszystko, co ma przy sobie, nawet nóż. Dopiero wówczas może położyć się spać. Gospodarz złodziejskiej oberży mądrzejszy jest od wszystkich opryszków! Żadnemu z nich nie ufa. To też włóczędzy obdarowują go, jak który może. — Henio Matysiak ostatnie słowa wypowiedział dziwnie tajemniczo

Nagle ktoś zapukał do drzwi.

— Czy Anielka przyszła? — zapytał Jakób Brzózka.

— Nie! — odpowiedzieli jednogłośnie wszyscy mali robotnicy z sali fabrycznej.

Jakób Brzózka powtórzył tę odpowiedź zaniepokojonemu bratu Anielki, który czekał w korytarzu.

W domu Anielki także jeszcze nie było. Wiadomość ta spadła na dzieci, jak piorun z jasnego nieba. Zapanowała martwa cisza. Rezolutna Gieńka przyłożyła chusteczkę do oczu, a Kasia Stelmachówna poczęła się modlić, przejęta lękiem:

— Drogi Boże, uczyni tak, aby jej się nic nie stało! Przecież ja tylko jeden zwój sznurów położyłam, ale nie mogę o tem powiedzieć, bo się wstydzę. Anielka położyła drugi. Widziałam wyraźnie. Ale to nie ona zabrała te sznury, tylko Magdzia, bo zabierałyśmy je razem. Napewno nie Anielka. Ach, drogi Boże, pomóż Anielce! Spraw, aby jej się nic złego nie stało! Niechaj wróci do nas, o Boże, drogi Boże!

Jak skamieniała siedziała Kasia Stelmachówna na swoim stołku. Tuż za nią szlochała Basia, a chłopcy tajemniczo szeptali:

— Już ciemno! Na górze w lesie cygani rozpalili ogień! Tam! Pójdziemy? Pójdziemy szukać Anielki?

I znowu zabrali się do roboty, jakby tego dnia nie chcieli jej wcale przerwać.

Z babcią.

Tak, cygani ogień palili. Samotne skrzypki dźwięczały ciągle, grając tęskną, rzewliwą pieśń. A na skraju lasu siedziała rzekomo zaginiona Anielka ze swą babcią i ukrywszy twarz na jej kolanach, szlochała:

— Wolę raczej umrzeć, niż wrócić do fabryki! Choćby nawet już więcej o mnie nie mówili. Ja sznura nie zabierałam, tylko go później podłożyłam. Nie mogę jednak powiedzieć, kto mnie o to prosił. Przymknęłam świąteczne oczy. Nie, więcej do fabryki nie pójdę. Już chyba tam nie wytrzymałam. Naprawdę nie mogą pójść, babciu!

Ostatnie słowa wydarły się z jej piersi niby serdeczna skarga, a babcia siedziała w milczeniu i gładziła tylko pieśczołliwie wijące się loki Anielki. Przeczynała, że do tego dojdzie. Ach, ach! Ale jak można było temu zaradzić! Widocznie tak być musiało.

Babcia poprawiła swój przekrzywiony czepek, wyprostowała się i rzekła przyciszonym głosem:

— Przez takie głupie gadanie jeszcze się nie ucieka. To nie sztuka. Wstydź się, Anielciu, tak się przejmować byle głupstwem! I tak jest dużo zmartwień w życiu. A do fabryki musisz chodzić tak, jak inni. Zrobisz to dla mnie. Słyszysz, musisz koniecznie. Matka twoja jeszcze przed dwoma laty przyrzekła waszemu panu, że będziesz u niego pracowała. Przyrzekła wtedy, gdy jej pomagał w biedzie, a przecież nawet wuj Henryk nie chciał jej pomóc. Nie pamiętasz, jak matka płakała i jaka potem była uszczęśliwiona? Dzięki waszemu panu z fabryki mogła siebie i was wyżywić i dzięki niemu macie dotychczas dach nad głową! Do wielu rzeczy trzeba się zmuszać. Jeszcze nikt z tego nie umarł, że pracował w fabryce!

Babcia mówiła z zapałem, a oczy Anielki otwierały się coraz szerzej. W duszy jej z każdą chwilą rodziło się większe przerażenie.

Więc musi iść do fabryki, czy chce, czy nie chce, musi... chodzić tam... codziennie... dopóki będzie żyła! Anielkę spowily nieprzebyte ciemności.

— Babciu! — zawołała, czepiając się pomarszczonej ręki, w której widziała teraz jedyną pomoc w swoim nieszczęściu. — Babciu! — powtórzyła i poczęła tak rzewnie płakać, że serce starej kobiety zmiękło.

Wraz z nią szlochały dźwięki skrzypiec w głębi lasu i nagle jakieś wspomnienie nawiedziło starą babkę. I ona tak kiedyś płakała przed dawnym, dawnym czasem. Zdawało jej się teraz, że po raz drugi odrodziła się w Anielce. Pieszczotliwie prze-

ciągnęła dłonią po włosach dziewczynki, a potem po jej mokrych od łez policzkach.

— Jutro razem z tobą pójdę do fabryki. Nic przykrego już ci tam powiedzieć nie będą mogli. A jeżeli właściciel fabryki pozwoli, czego jestem pewna, to na przyszły tydzień zabiorę cię z sobą w moje strony. Muszę się tam wybrać jeszcze raz przed śmiercią, a trzeba korzystać z ładnej pogody. Później wszystko się ułoży, Anielciu. Napewno, możesz mi wierzyć... Ale teraz trzeba już wracać do wsi, najwyższa pora.

Anielka wstała. Była to już całkiem inna Anielka od tej, która przed godziną samotnie wędrowała po lesie. Z trudnością podniosła wiązkę swego chróstu i kroczyła teraz przy boku babci tuż obok rozpalonego przez cyganów ognia, zupełnie się dokoła nie rozglądając. W serduszku jej zajaśniały znowu dwie gwiazdki.

Jutro babcia pójdzie z nią do fabryki. Niekoniecznie musi iść sama. A na przyszły tydzień wybierze się z babcią do Krzywicy... na trzy... cztery dni, może nawet na cały tydzień. Do Krzywicy! Dotychczas babcia jej nigdy z sobą nie zabierała. Im dłużej Anielka o tem myślała, tem jaśniej robiło się w jej serduszku, a gdy babcia po pewnym czasie spojrzała dziewczynce w oczy, dostrzegła w nich dawne błyski radości. Uwierzyła babcia, że Anielka mimo wszystko odnajdzie swą prawą drogę i już ochoczym krokiem obydwie poczęły schodzić po pochyłości pagórka do rodzinnej wioski.

Bezsenność noc.

Na kościelnym zegarze wybiła druga. Przez okno wtargnęło blade, jakby martwe światło księżyca. Żaden listek nie poruszał się na drzewie, wszędzie panował spokój, wszystko odpoczywało.

Byli jednak i tacy, którzy o śnie zupełnie zapomnieli. Z szeroko rozwartymi oczami babcia Anielki leżała w swej izbie. Serce jej biło mocniej, niż zwykle, ręce splecione były ze sobą, a usta zacięte uporczywie. Sama nawet nie zdawała sobie sprawy, że od wieczora nie mogła zasnąć. Dawno pogrzebane historie ukazywały jej się teraz, kuśiły i chwytaly za serce, jakby dopiero wczoraj zdarzyły się w jej życiu.

Zaczęło się to już wczorajszego wieczoru, wczoraj, kiedy siedziała z Anielką w lesie. Tak, i ona kiedyś tak płakała, jak dzisiaj Anielka! I ona! Jakże dobrze pamiętała to teraz. Ten sam przemożny głód swobody odezwał się teraz w Anielce, który kiedyś w Krzywicy i jej serce rozrywał...

Tak, tak, godzinami całymi stała przed domem

swego ojca, wzniesionym wysoko ponad doliną, ozłacaną słońcem, stała tak godzinami stęskniona za wędrówką daleką, za wędrówką po szerokim świecie. Tęskniła tak, że aż łzy paliły ją pod powiekami! Ale wówczas zjawił się ojciec i powiedział „nie, zostaniesz tutaj“.

Jeszcze teraz babcia widzi go przed sobą, wysokiego, barczystego, o czarnych głębokich oczach, o silnej pięści, którą często uderzał o stół, jak był z czegoś niezadowolony. Jeszcze dzisiaj babcia czuje ten ból przeżywany codziennie, ten sam ból, który teraz przeżywa Anielka...

Nagle babcia uśmiechnęła się. Stary gospodarz z Krzywicy nie obliczył się dokładnie. Znowu babcia widziała swego ojca przed domem, wyglądającego na drogę, czy umówiony czeladnik krawiecki nie nadchodzi z nożycami i żelazkiem, aby przenicować stare ubranie gospodarza. Nie zauważył ojciec, że jego młodziutka Anielka z firanki z bijącym sercem również wygląda niebieskookiego chłopca, który podczas zręcznego manewrowania igłą najpiękniejsze historie potrafił opowiadać. Czładnik krawiecki zwiedził kawał świata. Wędrował, wędrował ciągle i umiał o tych swoich wędrówkach opowiadać w taki sposób, że w duszy dziewczęcej wzbudzał swemi opowiadaniem rzewną tęsknotę.

Gdy czeladnik krawiecki po czterech dniach znowu opuszczał Krzywicę, nietylko zabierał z sobą pieniądze otrzymane od gospodarza. Zabierał z sobą również radosne i uroczyste przyrzeczenie, a w kieszonce kamizelki lok włosów z czarnej główki Anielki. Tak, tak, Anielka miała wówczas długie, grube

warkocze, które tylko raz na tydzień w niedzielę zaplatała...

Babcia uśmiechnęła się w rozmarzeniu. Miała A nielka również rumiane policzki i błyszczące oczy, z których znana była w całej Krzywicy. Nie na-próżno ojciec pokładał wielkie nadzieje w Anielce! Dawno to już było temu, bardzo dawno. Zresztą ojciec chciał dla niej jak najlepiej, a całkiem inaczej wszystko się ułożyło.

Babci zdawało się znowu, że to wszystko działo się dopiero wczoraj. Widziała krzaczaste brwi ojca, zmarszczone chmurnie w chwili, gdy czeladnik krawiecki zdobył się wreszcie na odwagę. Słyszała wyraźnie gniewnie słowa, które spadały na nią, jak grom i widziała siebie uciekającą w upalny dzień, biegnącą przez strumienie, góry i doliny.

Tak, tak, z wiatrem w zawody przybiegła do Wielkiej Wsi, zupełnie sama, tylko z kilku monetami w kieszeni, które jej brat Jasiiek od matki zdołał wydostać. Ciche wesele wyprawiono w Wielkiej Wsi. A jednak... strzelano na wiwat, aż się szyby trzęsły, skrzypkowie zawodzili rzewnie, a starzy i młodzi sunęli do tańca. Gdy goście w oberży „Pod Wołem“ pili, jedli i weselili się, wesolemu krawcowi Lipce pozostało tylko sześć złotych w kieszeni. Ale... babcia uśmiechnęła się znowu teraz i pokiwała głową... Potrząsnęła wówczas jedwabnym fartuszkim, w którym zabrzczało tyle srebra i złota, że wystarczyło na kupienie łóżka, dwóch krzesel, stołu, kilku kubków i talerzy. Tak, tak, z tem małym wianem, Anielka z Krzywicy przeniosła się do krawca Lipki do Wielkiej Wsi

i od tego czasu nazywali ją wszyscy jego żoną. Mogłaby lepiej i zamożniej wyjść za mąż, oczywiście...

— Ale żadnego tak nie lubiłam, — broniła się przerażona babcia.

Jasno płynęły lata i piękna Anielka z Krzywicy stała się Anielą, która wędrowała przez góry i doliny, sprzedając swe towary.

Babcia przesunęła dłonią po czole. Dopiero od niedawna na jej twarzy pojawiły się zmarszczki. Żadne maści nie pomagały na to. Nie oznaczało to nic dobrego. Trzeba jeszcze raz w życiu udać się w rodzinne strony, pomyślała babcia, tam, gdzie trzydzieści lat nie byłam. Mam teraz osiemdziesiąt dwa lata, Jasiek był o pięć lat młodszy. Kto wie... Jak prędko czas upływa! Tym razem wezmę Anielkę z sobą. Tak, tak, wezmę Anielkę!

Babci już teraz nie tak żal było dziewczynki. Znajdzie ona swoją drogę, napewno. Stara kobieta przymknęła oczy i kiwnęła głową:

— Każdy musi swą drogę odnaleźć, ciocia? nie dla każdego jest ona jednakowo dobra.

Gdy księżyc powędrował już tak dalek, że mógł spojrzeć przez okno w twarz babci, dostrzegł, że staruszka spała tak samo spokojnie, jak wszyscy mieszkańcy Wielkiej Wsi.

Znowu w fabryce.

Zbudzona wieś szeptała ze wszystkich za-
ulków:

— Anielka się znalazła! O, tam idzie! Idzie
z babką! Ze starą Anielą!

Szepty cichły.

Wolno, majestatycznie kroczyła babcia w swym jedwabnym czepku, a przy niej Anielka. Szły w stronę fabryki. Wszystkich spotkanych sąsiadów pozdrowiały uprzejmie, na co odpowiadano im równie uprzejmem pozdrowieniem. Stara Anielka znana była w całej wsi i cieszyła się ogólnym szacunkiem. Mało było takich, którzy kiedyś w życiu nie zasięgali mądrej rady u babci. Co powiedziała, było słuszne i dlatego też, gdziekolwiek babcia się ukazała, wszędzie witano ją z szacunkiem i radością. Tak samo było z majstrem w przędzalni. Prostu może ze zwykłego przyzwyczajenia, wprawdzie postanowił już oddawna utemperować trochę tę Anielkę Lipkównę. Była mu przecież prawdziwą solą w oku. Nigdy nie postępowała tak, jak inne

dzieci. O pilności i zapale w pracy nie mogło być mowy, wystarczyło na nią spojrzeć! Mimo to jednak, gdy majster ujrzał siwe włosy babci, gdy spojrział w jej szczerę, dobrotliwe oczy, utracił nagle całą niechęć do Anielki Lipkówny. A gdy wysłuchał jej słów, przypomniał sobie nagle własną młodość, własne wędrówki po lasach i łąkach, które ukazały się teraz jego oczom, niby dawno przesłonięty sen.

Po chwili rozumiał już wszystko. Powstrzymała go jeszcze tylko pewna przekora, zwyczajne codzienne. Stał przed babcią kiwając głową, ten szczupły człowieczek, o pomarszczonej, żółtej twarzy i mamrotał coś, czego nie można było zrozumieć. Babcia musi jeszcze dzisiaj rano porozmawiać z właścicielem fabryki.

Anielka weszła do fabrycznej sali, podziwiana przez wszystkich, w oczach wszystkich jakaś obca, całkiem nowa.

Po chwili zaczęły warczeć koła maszyn i rozpoczął się nowy dzień pracy. W oddali gwiazdy gasły na niebie, dolina zajaśniała bladym światem.

Babcia przysiadła na pniu, na skraju lasu. Tak rano panu nie wolno przeszkadzać, zresztą miała przecież dosyć czasu. W zamyśleniu wyciągnęła z kieszeni tabakierkę i wysypała szczyptę tabaki na pomarszczoną dłoń. Szerokim gościńcem szli ludzie, stukając głośno zakurzonemi butami. Spóźnieni pielgrzymi... pokiwała głową babcia, chcą jeszcze zatrzymać się gdzieś, nim zima nadejdzie.

— Szczęśliwej podróży, — pozdrowiła przechodzących.

Wędrowcy podziękowali, szepnęli coś jeszcze i wydobyli z kieszeni różańce. Ostatni chromał i przystawał od czasu do czasu. Ma widocznie groch w buciku, chcąc grzechy odpokutować, pokiwała głową staruszka. Jej badawczy wzrok poszybował w stronę fabryki, w stronę niezliczonych ilości okien. Na ten temat nikt jej nie przekona. Te budynki fabryczne nic dobrego nie przynoszą światu! Stanowczo nawet sprowadzają nieszczęście na ludzi. Jasny płomień rozpałił się w duszy babci. Monety brzęczą. Otóż właśnie! Za te monety tam wewnątrz fabryki zabierają ludziom światło, słońce, powietrze... i radość życia.

Stara kobieta podniosła się. I ona kiedyś przędła na wrzecionie i tkła płótno i jedwab. Zimą, gdy śnieg leżał wysoko pod oknami, przędła ciągle, nucąc swe piosenki. Ręce jej nigdy nie ustawały, te ręce, które z radością imały się pracy zimą, aby latem wygrzewać się na słońcu. Tak było dawniej. Ale maszyny podobno wszystko lepiej rozumieją, podobno pracują lepiej i prędzej. Ludzie uważają, że maszynowe płótno jest piękniejsze od płótna tkanego ręcznie. I co dalej będzie? Z zatrośkaną twarzą spojrzała babcia w daleką przestrzeń. Była pewna, że obecni ludzie stanowczo postępują fałszywą drogą.

Był już dzień, trzeba więc pójść do właściciela fabryki. Babcia przygładziła ręką włosy. Pagórki leśne poczęły połyskiwać złocistym blaskiem. Słońce, słońce! Babcia wzniosła ku górze oczy, witając słoneczne promienie z wdzięcznością, a potem wolnym krokiem udała się w stronę bramy. Przy

bramie spotkała grubą rozczochraną wędrowną handlarke.

— Czy będę mogła dzisiaj u was przenocować? — zawołała na widok babci.

Babcia skinęła głową zapraszająco i poczęła się wspinać po schodach do kancelarii właściciela fabryki.

Gdy Anielkę wywołano z sali, w pierwszej chwili serce jej bić przestało. Majster dzisiaj nie odezwał się do niej ani słowem, tylko piekowaty Heniek wśród roboty szepnął:

— Siebie lepiej pilnuj, a nie martw się o innych!

Wszystkie dzieci wiedziały z której strony wiatr wieje, lecz nie dziwiły się temu zupełnie. I one już oddawna postanowiły nie dokuczać więcej Anielce. Wiedziały tylko jedno: Że babcia przyprowadziła Anielkę z lasu, z tego lasu, gdzie cygani obozowali. Tam właśnie Anielka była. Jak to? Co się tam stało? Anielkę spowijała głęboka tajemnica. Na swem miejscu przy maszynie zastała Anielka, zaraz po przyjściu, kawałek pięknej jedwabnej wstążki.

— Możesz to sobie zatrzymać! — szepnęła jej do ucha Kasia Stelmachówna.

Również i inni uśmiechali się przyjaźnie, gdy spoglądali na Anielkę. Tęgo zupełnie nie oczekiwała! Wyprostowała się, rozejrzała dokoła i nagle zapragnęła każdemu coś przyjemnego powiedzieć, dla każdego coś dobrego zrobić... Nie zdążyła jednak, bo wywołano ją z sali do właściciela fabryki!

Schody chyba nigdy się nie skończą, jeszcze

tyle stopni. Za każdym krokiem, który robiła, stała się jakaś mniejsza, nic nie znacząca. Co jej pan powie? Przecież musiał być zły! Jeżeli nie pozwoli jej na podróż do miasta! Jeżeli... Z drżącymi kolanami, stanęła Anielka przed panem, czekając na rozkazy. Usłyszała, jak powiedział do niej ostro:

— Żeby mi się to nigdy więcej nie powtórzyło. Trzeba uczciwie pracować. Nasi ludzie muszą...

A teraz co będzie? Anielka zawisła wzrokiem na twarzy babci, jakby szukając u niej ratunku.

— Podziękuj, Anielciu, — szepnęła babcia, gdy właściciel fabryki umilkł, — masz pozwolenie pojechania ze mną do miasta i do mojej wsi rodzinnej.

Wówczas dopiero Anielka się ocknęła. Czyż to możliwe? Czyż to była prawda? Spojrzała właścicielowi fabryki prosto w oczy i nagle poznała w nim owego pana, który w wiosenny wieczór przysłuchiwał się jej śpiewowi, gdy siedziała wraz z Magdzą nad rzeką. Uśmiechnęła się doń, jak do starego znajomego, a w oczach jej zajaśniała gorąca wdzięczność.

— Czy on mnie jeszcze pamięta? — pomyślała. — Dziękuję, dziękuję pięknie! Serdeczne dzięki! — wyszeptała i wraz z babcią znalazła się znowu na korytarzu.

Przez cały dzień wydawało się Anielce, że świat uległ jakiejś nagłej zmianie. W całej fabryce nikt nie mówił już więcej o zwoju sznurów! Wszyscy byli tacy dobrzy i mili! Na przyszły tydzień będzie mogła pojechać z babcią do Krzywicy. Ona, Anielka Lipkówna, z babcią, ze swoją babcią! Ni-

by wicher zbiegła Anielka po schodach fabrycznego kantoru i wtargnęła do obszernej sali, w której już od tak dawna pracowała.

Tylko babcia wolnym krokiem szła do domu. Ciężką przetrwała walkę z właścicielem fabryki, ale i ona go rozumiała. Od czasu, gdy w starym młynie urządził czyściutką, wygodną przędzalnię, ludzie nie chcieli już dłużej w dawnej brudnej fabryce pracować. To go rozczarowało do wszystkich. Biedna Anielka! Musi jeszcze pewien czas wytrzymać. Ale przecież Anielka znowu jest wesoła i radosna. A potem... kto wie, co jeszcze być może!

Wiercipięta.

Radość Anielki na samą myśl o wyjeździe z babcią ozłociła słonecznym blaskiem maleńki światek, który zachowywała głęboko w swem serduszku. O smutku minionych dni zupełnie już nie pamiętała, nawet praca wydawała jej się wesoła i zajmująca. Wszyscy otaczający ją ludzie mieli tak przyjemnie uśmiechnięte twarze i mówili takie przyjemne rzeczy! Przecież świat był jednak piękny.

Gdy wieczorem Anielka wyszła z fabryki, gwiazdy figlarnie mrugały na niebie, niby wielka armja błędnych ogników. Anielka w podskokach biegła do domu grubego szewca, dźwigając wielki bukiet wrzosu. Magdzia jeszcze nic nie wiedziała o tak niedalekiej podróży Anielki. Co ona na to powie? Anielka pragnęła jak najspieszniej opowiedzieć o tem wszystkiem przyjaciółce.

Ale, gdy wbiegła pośpiesznie do izby grubego szewca, wzrok jej spotkał się z rozgorączkowanymi niepokojem oczami Magdzi.

— Jesteś nareszcie? — zawołała Magdzia. —

Powiedziałaś wszystko? Och, Anielciu, tak się bałam o ciebie!

Dopiero teraz Anielka uświadomiła sobie, że u Magdzy nie była już od niedzieli.

— Prawdziwe skaranie boskie z tą dziewczyną, — narzekała żona grubego szewca, — musiałam jej przygotować ubranie. Powiedziała, że natychmiast pobiegnie do fabryki, że wszystko tam opowie, a potem pójdzie do lasu, aby cię za wszelką cenę odnaleźć. Oczywiście siły do takiej wyprawy nie miała! A potem, gdy noc zapadła... ach, ach... zapaliłam już latarnię i zarzuciłam chustkę na siebie... miałam pójść do lasu, ale na drodze spotkałam powroźnika Heronima, który mi powiedział, że widział, jak przed chwilą wracałaś z babcią do domu. Zaczęłyśmy płakać obydwie z radości, ja i Magdzia. Ach, Anielciu, dlaczegoś to zrobiła?

Żona grubego szewca przechyliła na bok głowę, podniosła fartuch i otarła oczy. Magdzia tymczasem chwyciła Anielkę za rękę i zawołała błagalnie:

— Powiedz lepiej, że to ja ten sznur zabrałam. Jak wyzdrowieję to i tak przeniosę się do innej fabryki, a potem ojciec mnie z sobą zabierze.

— Tak, powiedz już wszystko, — podchwyciła żona szewca, — chociaż przecież cała wina nie może spaść na nas.

Gdy dostrzegła jednak stanowczy wzrok Anielki, zorientowała się, że o żadnej odpowiedzialności nie może być mowy.

— Już nikt nie mówi o tych sznurach, — oświadczyła Anielka, — a za kilka dni wybieram się

z babcią do Krzywicy. Może nawet będę tam cały tydzień.

— Do Krzywicy! I właściciel fabryki pozwolił?— Żona grubego szewca nie mogła opanować swego zdziwienia. — O nic nie pytał? Nie wymyślał ci? I nikt już więcej nie mówi o sznurze?

To stanowczo musiał być cud! Ach, jakie szczęście! Więc jednak nie trzeba będzie do wszystkiego się przyznawać! Żona grubego szewca odechnęła z ulgą. Nie napróżno zauważyła dziś na swej prawej ręce ciemną brodawkę. Nadmiar wszystkiego brodawka była zupełnie sucha, co podobno oznaczało szczęście. Teraz tę brodawkę widać całkiem wyraźnie, więc prawdopodobnie wszystko ułoży się jak najlepiej. Ach!...

Magdzia wciąż głaskała rękę Anielki, słuchała jej opowiadania o Krzywicy i wraz z nią cieszyła się tą niedaleką podróżą.

Gdy Anielka wyszła, nie było już tak ponuro w domu grubego szewca. Na twarzyczce chorej Magdzi odzwierciedlała się głęboka radość. W wychudłych rękach trzymała Magdzia przyniesiony jej przez Anielkę bukiet wrzosów! Było jej teraz całkiem dobrze, pragnęła spokojnie zasnąć.

Anielka tymczasem w podskokach biegła do domu. Teraz, kiedy już podzieliła się swą radością z Magdzą, radość tę odczuwała podwójnie. Odczuwała ją w oczach, w ramionach, w nogach i w całym ciele, a gdy znalazła się w domu i usiadła przy stole, radość ta niby bajeczny czar omotała wszystko, co Anielkę otaczało i udzieliła się nawet rodzeństwu. Miały zresztą dzieciaki nielada jaki po-

wód do śmiechu. Nieczęsto nadarza się taka okazja. W obszernej kuchni Lipków na ławeczce pod piecem, w towarzystwie matki i babci, siedziała Wiercipięta, jedna z wędrownych handlarek, znana ze swej niezwykłej siły, z pięciu krochmalonych spódnic, tyłuż kaftanów i wielu brodawek na zawsze błyszczącej twarzy. Wyglądała Wiercipięta, jak mężczyzna, szczególnie na ulicy, gdy ciężkim żołnierskim krokiem chodziła od domu do domu. Nie daj Boże, żeby ja ktoś głośno Wiercipiętą nazwał! Nle daj Boże, żeby takiego złapała! Dla Wiercipięty każdy miał pewien szacunek, a mimo to jednak wszyscy się śmieli z tej dziwacznej starej kobiety.

Teraz siedziała na ławeczce pod piecem w kuchni Lipków, kiwała głową i opowiadała już po raz dwudziesty w tym roku historję o siodlarzu Bartłomiej, którą zresztą dzieci znały z wszelkimi szczegółami.

— Znacie siodlarza Bartłomiej, — zaczęła, głośno chichocząc, — ten który miał tę zabawną historję!

— Już kiedyś opowiadaliście nam o tem! — krzyknęła matka Wiercipięcie do ucha.

— Naprawdę! Tak, — skinęła głową handlarka, ciągnąc jednak dalej: — Jak sołtys Fabjan przechodził koło rzeki, przeglądając jakieś papiery, które przyszły z urzędu, Bartłomiej siedział ze swoją kulą na drodze. A miał siodlarz żal do sołtysa, bo go kiedyś oskarżył przed policją o pijanstwo. Ha, ha, ha! Siodlarz nie głupi! Wyciągnął kulę i gdy tak sołtys szedł zaczytany w swych pa-

pierach, popchnął go kulą do rzeki. Zaraz jednak porwał się z ziemi, rzucił swą kulę i zawołał: „Ach, panie sołtysie, co się stało, co się stało?” Wyciągnął przerażonego sołtysa z wody, oddał mu rozsypane po ziemi papiery, a sołtys wdzięczny za ratunek, dał jeszcze Bartłomejowi dwa złote! Mówię szczerą prawdę! To dopiero łotr z tego Bartłomieja. Na własne oczy to widziałam.

Handlarka śmiała się i śmiała, aż wreszcie jedyny ząb, który jej sterczał po prawej stronie, wyleciał i upadł na pasiasty fartuch.

Wówczas dzieci, nie mogąc już dłużej wytrzymać, poczęły się tarzać po ziemi z wesołości. Jakże to musiało śmiesznie wyglądać, jak sołtys leżał w wodzie! Ach! Och!...

Gdy Wircipięta wetknęła napowrót swój jedyny ząb do dziurki w dziąśle, matka przyłożyła palec do ust, dając dzieciom znak, aby się śmiać przestały. Anielka uspokoiła się najprędzej. Wircipięta zażyła teraz trochę tabaki i zaczęła kichać bez końca. Tym razem już nietylko dzieci wybuchnęły głośnym śmiechem, lecz zawtórowały im również matka i babcia. Wszyscy obserwowali z ciekawieniem, jak nos Wircipięty poczerwieniał nagle, a po chwili stał się zupełnie siny.

Ale dosyć było tej wesołości. Wircipięta się uspokoiła, matka zaś kazała dzieciom pójść spać. Jakże można wyjść z kuchni, skoro niewiadomo, co jeszcze wesołego zdarzyć się może? Mimo rozkazu matki, dzieciarnia nie ruszyła się z miejsca. A potem na górze śmiechom i żartom nie było

końca, że aż matka dwa razy musiała stukać w sufit, żeby rozbawione dzieciaki uspokoić.

Gdy nazajutrz rano dzieci zaciekawione zabrały do kuchni, Wiercipięty już nie było, tylko na stole leżało pudełeczko zapalek i słoiczek pomady do włosów, które Wiercipięta zostawiła gościnnej gospodyni w podziękę za dobrą kolację i nocleg.

Do Krzywicy.

Anielka nie napróżno się cieszyła! Gdy nadeszła niedziela i zegar na kościele wybił czwartą godzinę nad ranem, obydwie z babcią wyszły już z domu.

— Szczęśliwej podróży, — życzyła matka, kiwając ku nim z okna.

Potem wszystkie domy wioski zostały gdzieś wdali, a nad głową Anielki połyskiwały tylko gwiazdy. Anielce było lekko i radośnie na sercu, biegła, jakby miała skrzydła u ramion. Babcia miała na głowie nowy jedwabny czepek, a na odświętnej sukni kwiecisty fartuch. W małym koszyczku niosła babcia podarunki: pół kilo kawy i kilo cukru. Takie prezenty zawsze najbardziej radowały krzywickich mieszkańców. Anielka w jednej ręce niosła świeże strudelki, a w drugiej ogromny parasol babci. Tylko w chwilach, gdy droga biegła nieco pod górę, babcia odbierała jej parasol i wspierała się na nim.

Jeszcze nigdy Anielka tak daleko od domu

nie była. Gdy na niebie rozwidniło się, Anielka dostrzegła, że góry otaczające jej rodzinną dolinę, daleko już były poza nią. Obok ścieżki, którą szły teraz, płynął wąziutki strumyk. Anielka nie wyobrażała sobie, kiedy wreszcie znajdą się w tej upragnionej Krzywicy. Nagle babcia przystanęła, spotkawszy jakąś pomarszczoną staruszkę.

— Dokąd idziecie? — zapytała.

— Do Borku, do znachora, — odpowiedziała staruszka, — mój stary znowu ma jakieś bóle w plecach. Tym razem strasznie mu to dokucza. Nie wiem, może mu trzeba będzie bańki postawić, bo to podobno dobrze robi.

Babcia skinęła głową potakująco i zażyła szczyptę tabaki.

— A jak to nie pomoże, to spróbujcie pijawki, — poradziła, — kowal w naszej wsi miał też takie bóle, pijawki mu przystawiono i jakby ręką odjął.

Obydwie kobiety kichnęły kilkakrotnie, życzyły sobie nawzajem szczęśliwej podróży i rozstały się.

Babcia weszła wraz z Anielką do lasu. Było tutaj ciemno i panowała martwa cisza. Anielka bała się trochę, ale gdy spojrzała na zupełnie spokojną twarz babci, uspokoiła się także. Babcia czuła się w lesie, jak u siebie w domu. Poczęła pokazywać Anielce rozmaite rośliny i jakieś krzaczki obsypane drobnymi listeczkami, które podobno można było naparzać i otrzymywało się doskonałą herbatę. Jakiś żółty grzyb podniosła babcia z ziemi i poczęła go oglądać, czy jest jadalny. Potem nagle

zamilkła i przez dłuższy czas ani słowa nie powiedziała.

Teraz droga biegła na prawo. Na skraju lasu po obydwu stronach znaczyły się już jasnym blaskiem słoneczne promienie. Nad wierzchołkami drzew zawisło pogodne niebo. Gdzieś tam tylko lekki wietrzyk poruszał gałązkami drzew i szemrał w głębi lasu, naogół jednak panowała cudowna cisza i tylko kroki babci i Anielki słychać było wśród lasu.

Na otwartej przestrzeni stała przydrożna oberża, którą babcia Anielce wskazała, mówiąc z uśmiechem :

— Jesteśmy już w Wiatrowie, Anielciu. Siadaj tu przy mnie na pieńku, to trochę odpoczniemy.

Babcia wsparła łokcie na kolanach i zawisła wzrokiem w przestrzeni. Anielce się zdawało, że nagle ściany świata odsunęły się gdzieś w dal. Niebo tutaj było jakoś większe, niż we wsi rodzinnej. Istotnie! Anielce jeszcze lżej stało się na sercu. Wpatrywała się w słońce, które chłodniej jakoś świeciło podczas tego jesiennego dnia. Czyż to była rzeczywistość? Anielka rozglądała się dokoła ze zdziwieniem.

— Teraz pójdziemy na lewo, — rzekła babcia.

— I już będziemy w Krzywicy? — zawołała radośnie Anielka.

Babcia zaśmiała się głośno.

— Nie myśl, że tak prędko! Świat jest większy, niż przypuszczasz!

Ruszyły znowu w drogę. Droga biegła w górę

i nadół, poprzez pagórki i małe dolinki. Co kilka minut Anielka pytała:

— Czy już jesteśmy na miejscu?

Ale babcia ciągle przecząco potrząsała głową.

Gdy dotarli do niskiego, brązowego domku, stojącego przy drodze, babcia zapukała i obydwie z Anielką weszły do obszernej izby, pełnej stołów. Ludzie właśnie siedzieli przy obiedzie. Zrobiono zaraz dla babci i Anielki miejsce, a gospodyni przyniosła jeszcze dwie porcje kielbasy, smakowicie pachnącej. Na środku stołu stał wielki półmisek kartoflanych placków.

— Jedzcie, bardzo proszę, — zapraszała gospodyni. — Wystarczy dla wszystkich.

Anielce jeszcze nigdy placki tak nie smakowały. Chętnie sięgnęłaby po drugą porcję, ale się jakoś wstydziła. Zanim wyszły z izby, gospodarz poprosił babcię o szczyptę tabaki, potem podali sobie ręce, a gospodyni ucałowała babcię serdecznie.

Więc świat był aż taki duży? Anielka nie mogła tego wszystkiego pojąć. Wobec tego, jak jest daleko do Ameryki?

Nareszcie, nareszcie babcia z Anielką znalazły się w szerokiej, pięknej dolinie, przez którą przepływała wijąca się rzeka.

— To Jasna, — rzekła babcia, poprawiając swój kwiecisty fartuch. — Jesteśmy już blisko Krzywicy. Teraz stąd weźmiemy omnibus pocztowy, który nas zawiezie aż do kaplicy.

Blisko Krzywicy! Anielce to wszystko, co ją otaczało, wydało się jakieś całkiem inne, nowe, nieznanne... Nadszedł dylizans pocztowy. Zatrzymał

się. Był żółty, mały i niewygodny. Anielka musiała się wcisnąć między babcię i jakąś inną starą kobietę. Było jej wprawdzie niezbyt wygodnie, mimo to jednak miała wrażenie, że jest w niebie. Naprzeciw niej na wąskiej ławeczce siedzieli dwaj księża w długich czarnych sutannach.

Tra, ta, ta! trąbił pocztyljon. Dzwoneczki zawieszane o chomont koński tak głośno dzwoniły, że zagłuszały rozmowę pasażerów, którym było coraz bardziej gorąco. Wreszcie dylizans zatrzymał się przy kaplicy. Babcia i Anielka ujrzały oczekującego ich wuja Jaśka, którego twarz rozjaśniona była uśmiechem i który nie mógł się nacieszyć widokiem swych gości. Wuj Jasiek był zupełnie podobny do babci, ale jakże śmiesznie mówił! Wszyscy tutaj mówili tak śpiewająco. I jak zabawnie był ubrany! Anielka nie mogła od niego oderwać wzroku. Nosił pasiaste spodnie, ciemną długą sukmanę i miał szeroki pas, nabijany blaszkami. Anielka nagle przypomniała sobie swe kolczyki, i z przerażeniem sięgnęła do uszu. Były, nie zgubiła ich w drodze. Gdy się uspokoiła zaczęła znowu spoglądać na wuja, który rozmawiał z ożywieniem z babcią.

Szli teraz przez wieś szeroką drogą, po obydwu stronach której wznosiły się małe drewniane chałupki.

— Patrzaj, jak słońce jeszcze jasno świeci, — rzekła babcia, przystając nagle.

— Nic dziwnego, wszyscy mówią, że jesteśmy już bliscy królestwa niebieskiego, — zaśmiał się wuj Jasiek.

Teraz szli i szli wąską polną miedzą. Wszędzie pasły się krowy i owce, ze wszystkich domów wychodzili ludzie, pozdrawiając serdecznie wuja Jasia. Babcie też niektórzy poznawali, więc musiała co chwilę przystawać i witać się z sąsiadami. Anielka była już tak zmęczona, że nagle przysiadła na trawie. Wuj Jasiek zaczął się śmiać głośno, bo powieki Anielki poczęły ociężale opadać. Dopiero, gdy się znalazła w chacie wuja Jaśka, ożywiła się znowu i otworzyła szeroko oczy. Co tam tak szemrało i piszczało pod ławką, na której Anielka siedziała? Położyła trzymaną wciąż strucelkę na stole, pochyliła się i zajrzała pod ławkę. Omal nie krzyknęła ze zdziwienia. Pod ławką siedziały kury i kurczęta, cały kurnik był w izbie. Były tam porobione grządki, po których kurczątko wesoło skakały. Wreszcie wujenka weszła do izby boso, w szerokim fartuchu. Anielce znowu zaczęły ciężać powieki. Pochyliła głowę, wsparła ręce na stole i zasnęła.

Słońce i swoboda.

Zaczęły się teraz dla Anielki dni pełne radości i zabawy. Już pierwszego dnia, gdy tylko otworzyła oczy, dostrzegła, że leży na miękkiej, ogromnej pierzynie. Przykryta była kolorową grubą kołdrą, z pod której się zupełnie wydostać nie mogła. Tam, na ścianie wisi fartuch babci. Nad głową widzi Anielka sufit ze zwykłych belek, poprzybijanych wielkimi gwoździami. Jakie to zabawne! Coś podobnego! Pod ścianą stoi duża niebieska skrzynia. Łóżko, na którym leży Anielka, też jest niebieskie, malowane w czerwone tulipany i róże. A za łóżkiem?

Anielka rozgląda się zdziwiona po izbie. Kto to wszystko tak pięknie pomalował? Nagle promień słoneczny padł na czerwone tulipany. Ożywiły się, zdawaćby się nawet mogło, że poruszają kielichami! Anielka przetarła oczy. Przez małe okienko izby widzi błękitne niebo. Trzeba wstawać. A gdzie jest babcia? Która to może być godzina? W pośpiechu Anielka zaczęła narzucać na siebie bieliznę

i ubranie. Słońce zdawało się uśmiechać do niej. Wszystko jaśniało i śmiało się.

Tak samo, jak Wojtek, wybiegła Anielka na podwórze do studni. Po drodze spotkała wujenkę. Wujenka miała tak samo pomarszczoną twarz, jak babcia, nosiła taki sam czepek i chodziła zawsze boso. Zresztą wszyscy tu boso chodzili. Anielka też śpiesznie zdjęła buciki. Trzeba będzie kury wygnać z izby. Niełatwo się było z tem uporać, bo kury poczęły wskakiwać na stół i omal nie wpadły do dzbanka z mlekiem. Mleko to było przygotowane na śniadanie, a oprócz niego był świeżo upieczony chleb i żółciutkie masło. Wreszcie kury wyszły na powietrze i poczęły spacerować tam i napowrót przed domem. Jedno małe kurczątko jadło nawet okruszki chleba z ręki Anielce.

— Młodziutkie jeszcze, — rzekła wujenka, — jak będzie starsze, to zmądrzeje. Zajrzyj pod ławkę, Anielciu, może tam któraś zniosła jajko.

— Nie, ani jednego niema.

Anielka siedziała na ziemi. Jakie to śmieszne, że kury mieszkały w izbie. Przebywały tutaj przez całą zimę, podczas dnia także i mogły przyglądać się wszystkiemu, co ludzie robili. Zabawne! Może od czasu do czasu podczas mrozu wychodziły z pod ławki i spacerowały dokoła kaflowego pieca. Anielka odwróciła się. Ach, a jaki piec był zabawny! Na każdym kaflu nalepiony był jakiś obrazek wycięty ze starej książki. Nagle Anielka poczęła nasłuchiwać. Z podwórza dobiegły jej uszu wesole okrzyki. Teraz znowu! Któż to mógł być?

Czy ktoś przyszedł? Anielka wysunęła głowę przez szparę w drzwiach.

Podwórzem w stronę stajni szedł pastuch w okrągłej czapeczce na głowie. Za nim postępował starszy jegomość, niosąc dwie gomułki sera.

— Chodź, przywitaj się, to wuj Jakób, — rzekła wujenka, całując serdecznie syna.

Anielka przyjrzała mu się ze zdziwieniem. Wuj nie był jeszcze stary, miał twarz rumianą i barczyste ramiona. Podał wujence ser i jakieś zawiąniętko w kawałku gałganka.

— Przyniosłem szmalec, — powiedział.

Anielka wybuchnęła śmiechem. Szmalec! Przecież to było masło! Ale tutaj, w Krzywicy masło nazywano szmalcem. Anielka nauczyła się jeszcze jednego słowa: warzenie!

Gdy wujenka wyjęła ze skrzyni wielki garnek konfitur, zwróciła się do Anielki:

— Zjedz trochę warzenia, mamy tego dużo.

Anielka usiłowała zapamiętać to słowo.

Kazano jej pójść z wujem Jakóbem do sąsiedniej chaty, w której mieszkał i w której mieszkało dziewięcioro jego dzieci. Przez całą drogę Anielka przyglądała się wujowi. Gdy się śmiał, widziała białe piękne jego zęby. Zresztą wuj Jakób śmiał się przez cały czas i co chwilę głaskał Anielkę po włosach. Sąsiednia chata posiadała własną stajnię i stodołę. Czy to wszystko należało do wuja Jakóba? Gdy Anielka weszła do izby ze wszystkich kątów podbiegli do niej ogorzali chłopcy i dziewczynki, o czarnych wesołych oczach i rumianych policzkach. Byli to dzieci wuja Jakóba. Teraz śmiejąc

się i krzycząc radośnie, wszystkie otoczyły Anielkę. W oczach ich Anielka dostrzegła zdziwienie:

— Więc to jest Anielka Lipkówna z Wielkiej Wsi?

Widocznie podobała się wszystkim, bo wkrótce dzieciaki zawarły z nią przyjaźń. Mały Jasiak począł przed nią spacerować na rękach, a Manusia pokazała jej wszystkie swoje drewniane laleczki. Później obejrzała jeszcze Anielka kijanki nad rzeką, młode cielę w oborze i kudłatego psa Burka.

Gdy Kuba i Jasiak wysłani zostali do młyna, a Lodzia i Gieńka pobiegły do babci, Anielka zabrała się razem z niemi. Opowiadała im po drodze, jak uczyła się grać na mandolinie i jak kiedyś potrafiła wyczyniać rozmaite sztuki na linie. Stara wujenka dała każdemu z dzieci po kromce chleba z miodem, poczem wróciła do swego kołowrotka pod oknem.

— Lodzia i Gieńka są już prawie takie duże, jak ty, — zwróciła się do Anielki, — ale napewno latami są starsze od ciebie.

Przed młynem Kuba i Jasiak czekali na dziewczynki. Stały przed nimi taczki, na które załadowali worek mąki i worek soli.

— Jak będziemy zjeżdżać z góry, to możesz się trochę przejechać, — zwrócił się Kuba do Anielki. — Już większe ciężary popychałem.

Po drodze Anielka nagle zapytała:

— Dlaczego u wujenki na ścianie wisi mandolina? Czy wujenka umie grać?

— Nasza mama też grać potrafi, ale jej mandolina leży schowana w skrzyni, żeby się nie kurzyła.

Gdy tylko dzieci wróciły do domu, Anielka musiała pokazać im wszystkie swe sztuki. Za domem, skąd rozciągał się piękny widok na dolinę, usiedli wszyscy, a Anielka poczęła im śpiewać swe piosenki, które niby słowicze trele roznosiły się po pustej dolinie. Zapomniała nawet o tem Anielka, że musi wracać do wujenki, zresztą dzieciaki nie puściły jej, zatrzymując koniecznie na obiedzie.

Żona wuja Jakóba postawiła na środku stołu mosiężny dymiący dzbanek z kawą, drugi z mlekiem, a pozatem chleb, żółciutkie świeże masło i miód. Dzieci mogły jeść miodu, ile chciały. Już dawno, bardzo dawno Anielka nie jadła z takim apetytem, również oddawna z taką radością nie patrzyła na świat. Po jedzeniu wszystkie dziewczynki pobiegły do studni, aby zmyć naczynia. Wuj zabrał je później do sadu i każdemu z dzieci dał po dwa rumiane jabłuszka i po kilka gruszek. Anielka była uszczęśliwiona. Skakała i biegała po ogrodzie i podwórzu, a gdy nadszedł czas podwieczorku, usiadła wraz z wujem na pniu drzewa, trzymając w jednej ręce kubek mleka, w drugiej zaś chleb z serem. Dopiero, gdy słońce poczęło zachodzić Anielka wybrała się w powrotną drogę do chaty wuja Jaśka.

Powtarzało się tak codziennie. Dni płynęły szybko, a każda godzina wydawała się Anielce jedną chwilą. Gdy wieczorem wreszcie kładła się do swego niebieskiego łóżka, malowanego w czerwone róże, leżała długo z otwartymi oczami, wspominając to wszystko, co przez cały dzień przeżyła i serduszko jej przepelnione było radością.

Ostatniego wieczora przed wyjazdem, na dworze było tak ciepło, jak latem i Anielka wraz z babcią, oraz wujostwem, usiadła na ławeczce przed domem.

— Teraz znowu będzie u nas cicho, — odezwał się wuj Jasiek, — bo my obydwójce z matką niewiele już mamy sobie do powiedzenia.

Wujowi Jaškowi głowa opadła na piersi, a spracowane dłonie splotły się z sobą w wyrazie cichego żalu. Dokoła panowała cisza... I nagle wśród ciemności rozdzwonił się dźwięk strun mandoliny jakąś rzewną melodją... Wszyscy kompletnie przestali oddychać. Rzewna melodja płynęła i płynęła niby wartki górski strumyk, którego fale rozbijają się o kamienie. Z młodocianą werwą, z tchnieniem radości płynęła melodja, a staruszkowie, siedzący na ławce przed domem uśmiechali się do niej, przejęci dawnymi wspomnieniami.

— To matka moja gra! — szepnął wuj Jakób.

Istotnie siwowłosa wujenka siedziała ze starą mandoliną na progu i grała dawną piosenkę, którą znać jeszcze za swych lat młodych grywała.

Ponad lasem ukazał się księżyc. Powitał srebrzystymi promieniami pobliski szemrzący strumyk i rzucił jasny blask na łąki. Anielka wraz z wujostwem i babcią poszybowała również na skrzydłach wyobraźni w odległą przeszłość. Przecież babcia także kiedyś musiała być młoda i piękna, musiała posiadać więcej radości, niż dzisiaj, musiała cieszyć się i skakać, musiała widzieć świat w innych kolorach. Jeszcze nigdy Anielka tak czule nie patrzyła na babcię. Jeszcze nigdy w starym domu kry-

wickim nie było tak wesoło i przyjemnie, jak właśnie tego wieczora.

— Dobrze to były czasy, — szeptali staruszkowie, — złote czasy!

Księżyc skrył się za domem. W strumyku przygasł srebrny jego blask, a głowa wuja Jaśka znowu opadła na piersi. Jednak na twarzy jego ciągle jeszcze jaśniał wesoły uśmiech. Po raz ostatni palce wujenki uderzyły w struny mandoliny. Zwolna poruszyły się wargi słuchaczy. Rzewna pieśń, pieśń pożegnania zabrzmiała wśród nocy, a potem znowu zapanowała cisza.

Gdy nazajutrz rano słońce wschodziło, Anielka z babcią szły już śpiesznie wąską ścieżką w stronę doliny. Powiewały za nimi białe chusteczki mieszkańców Krzywicy na pożegnanie. Koszyki dwóch naszych podróżniczek ciężkie były od upominków, od masła, strucelek i placków pszennych, mimo to jednak zarówno babcia, jak i Anielka odczuwały w sercach dziwny ból. Tym razem babcia postanowiła, że udadzą się odrazu do Wiatrowa, aby stamtąd pojechać do domu pocztowym dyliżansem.

— Może tam będzie mniej ludzi i łatwiej będziemy mogli się dostać, — mówiła.

Babcia szła dziwnie ociężałym krokiem, często przystawała, oglądała się i wzdychała. Anielce wydała się dzisiaj staruszka jakaś zupełnie inna, niż dotychczas. Niepokoił ją wygląd babci, chociaż w głębi duszy uradowana była, że wraca już do domu. Dla każdego z rodziny niosła Anielka jakiś podarunek. O nikim w Krzywicy nie zapomniano!

Oselki masła przeznaczone były dla matki, dopiero się ucieszy! A dzieciaki! Przecież w domu było także bardzo przyjemnie Anielce. Opowiadania starczy jej teraz na długie tygodnie; szczególnie pragnęła opowiedzieć o wszystkim Magdzi. A jak tam ta biedna Magdzia? Dla niej niesie Anielka garnuszek miodu, pszczelnego, może mniej kaszleć będzie!... Czy tą drogą prędko dostaną się do domu?

Gdy dylizans pocztowy jechał piaszczystym gościńcem, z małego okienka, niby czerwona choraągiew, powiewała wzorzysta chusteczka Anielki. Dojeżdżając do rodzinnej wsi, Anielka dostrzegła Stefka i Staśka, oczekujących je już na drodze, a w dali również zobaczyła Łodzię i Milusię.

— Przywiozłaś nam co? — zawołali na powitanie. — Coś dobrego?

Anielka zaśmiała się wesoło i pokazała rodzzeństwu dwa naładowane koszyki. Niby bogata ciotka z Ameryki, wysiadała dumnie Anielka na placu targowym z pocztowego dylizansu. Zmęczona, lecz uśmie hnięta wysiadła za nią babcia.

Zima.

Anielka z babcią były znowu w domu. Zdawać się mogło, że jesień czekała tylko na to, bo zaraz po kilku dniach ciężkie chmury ściągnęły nad dolinę, wiatr począł dąć, a drzewa obsypały ziemię ostatnimi liśćmi. Liście te znacząc się złotą smugą, wirowały w powietrzu jak szalone. W lesie i na polach całymi nocami i dniami coś zawodziło, wszędzie było szaro, posepnie i nieprzyjemnie.

Anielka przez dłuższy czas nie zdawała sobie z tego sprawy, bo w serduszku jej jeszcze ciągle świeciło słońce, ciągle jaśniały wesołe wspomnienia niedawnych przeżyć. Prawie codziennie wieczorem biegła Anielka do Magdzi, siadała na krawędzi jej łóżka przy piecu i opowiadała bezustanku o swej podróży do Krzywicy. Codziennie przypominała sobie coś nowego i im dłużej opowiadała, tem wyraźniej wszystkie jej przygody ukazywały się oczom Magdzi. Magdzia częstokroć wyobrażała sobie nawet więcej, niż sama Anielka w Krzywicy widziała. Niejednokrotnie Anielka przynosiła ze so-

bą mandolinę. Dwóch nowych pieśni nauczyła się w Krzywicy i śpiewała je teraz Magdzi niezliczoną ilość razy, a pieśni te obydwu dziewczynkom za każdym razem wydawały się piękniejsze. Gdy wiatr dął za oknem, dziewczynki przysłuchiwały się jego zawodzeniu. Z roziskrzonymi oczami siadywały co wieczór pod piecem, śpiewały i marzyły o radości i słońcu.

Och, oby to wiecznie trwało! Lecz z każdym upływającym dniem słoneczne wspomnienia Anielki posepniały i tonęły w coraz gęstszej mgłę. Odczuła to Anielka, nie przerywała jednak swych odwiedzin w domu grubego szewca. Ale opowiadania jej stały się mniej ożywione, barwy dawnych przeżyć wyblakły i omotywały Anielkę powoli chłodne cienie szarego codziennego dnia. Cienie te stały się całkiem rzeczywiste, gdy pewnego dnia babcia rzekła surowo :

— Musisz przecież jakoś w fabryce wytrzymać! Musisz!

Teraz dopiero zrozumiała Anielka, jakie te słowa miały znaczenie i uświadomiła sobie, że nigdy już więcej nie zazna spokoju. Musi codziennie chodzić do fabryki, codziennie, dopóki będzie żyła! Anielka usiłowała znaleźć jakieś wyjście, jakąś zmianę w tem monotonnem szarem życiu. Z dnia na dzień oczekiwała cudu, który stać się przecież musiał, choćby dlatego, żeby ją z dotychczasowego życia wyswobodzić. Z nastaniem zimy Anielka znowu poczęła chodzić rano do szkoły, a w fabryce pracowała tylko popołudniu.

Pewnego dnia, było to w czwartek, w czwartek

ten najpiękniejszy dzień w całym tygodniu, kiedy dzieciom wolno było spać dłużej, bo szkoła później się rozpoczynała. Miała się odbyć lekcja rachunków. Spojrzenie Anielki poszybowało w stronę okna, za którem ujrzała wielkie płaty suchego śniegu. Wszedł nauczyciel. Uczniowie pochylili się nad zeszytami, rozłożonemi na pulpitych. Ale, gdy pan Barwicz zaczynał mówić, głowy wszystkich unosiły się mimowoli w górę. Wszystkie ołówki i pióra zostały odłożone na bok, wszystkie oczy zawisły na twarzy nauczyciela, który opowiadał... opowiadał starszym uczniom o obcach krajach, dalekich morzach, o czarnych ludziach, wygnanych z ojczyzny, o tych nieszczęsnych niewolnikach, którzy u białych muszą spełniać najcięższą pracę. Przemawiającami do serca słowami opisywał nauczyciel rozpacz czarnej matki, jej ból, jej gorącą tęsknotę za wolnością... Czyż to był ten sam nauczyciel? Czyż to byli jego, zawsze weseli i rozłobuzowani uczniowie? W oczach wszystkich ukazały się łzy, ręce bezwładnie opadły. Anielka nie widziała już nauczyciela, oczami wyobraźni widziała tylko nieszczęśliwą murzynkę, siedzącą na polu porośniętem trzciną cukrową, kołyszącą w ramionach małe czarne murzyniátko i śpiewającą mu tęskną kołysankę:

„Śpij, o śpij mój czarny chłopcze, któryś
zrodził się na ból,
Nim zaczniesz żyć naprawdę, wesołość twa
przemienie.
Śpij, o śpij, zatoń w mrokach, aby zbudzić
się do złego.

Z tęczowego snu twojego, zbudzi cię roz-
kaz pana twego.“

A potem murzynka wznosiła ręce w błagalnej
modlitwie:

„O ty wielki Duchu, coś stworzył nasze
nieszczęśliwe plemię,
Ty, który czarę naszego życia napelniłeś
goryczą!
Powiedz, kiedy odgonisz chmury z nieba,
na które wciąż patrzymy?
Powiedz, o powiedz, kiedy skończy się
krzywda twoich czarnych dzieci?“

Dreszcz przeniknął ciało Anielki i ukryła twarz
w dłoniach, aby inni uczniowie jej łez nie do-
strzegli. Zbudziła się w duszy dziewczynki jej własna
tęsknota, jej własny ból, dzięki którym tak dobrze
rozumiała nieszczęśliwą murzynkę. Dokoła Anielki
z wszystkich szkolnych ławek słychać było głośnie
szlochanie. Płacz dzieci wzmógł się, gdy usłyszały
odpowiedź na modlitwę murzynki:

„Ach, to wszystko się stanie, gdy Mississipi
zacznie płynąć w przeciwną stronę,
Gdy na drzewach bawełny ukażą się gra-
natowe liście,
Gdy aligator zaprzyjaźni się ze stadem
bawołów,
Gdy biali ludzie przestaną dręczyć swych
czarnych braci.“

Oszołomiona biegła Anielka tego dnia ze szkoły do domu. Było jej ciężko- lecz jednocześnie radośnie na sercu. Znalazła swój świat, w którym się czuła dobrze, w którym mogła panować, a nikt się tego nie domyślał.

Podczas następnych dni zdarzało się, że Anielce wśród roboty oczy łzami nabiegały. Cóż to było? Anielka potrząsała głową, gdy ją ktoś pytał o to.

Raz w powrotnej drodze, gdy gwiazdy poczęły mrugać nad doliną, Anielka zapytała wracające wraz z nią dzieci:

— Czy pamiętacie wiersz o nieszczęśliwej murzynce?

— Tak, trochę pamiętamy, — odparł Jakób Brzózka, zamyślając się głęboko.

Wówczas Anielka przystanęła.

— Mam go wam powtórzyć? — zapytała szeptem.

Gdy dzieci jednogłośnie zgodziły się na to, Anielka poczęła mówić i mówiła z takim przejęciem, że nawet zawsze ironiczny Heniek kulawego skrzypka, nagle zamilkł. Niby błagalna modlitwa, wznosiły się słowa Anielki ku niebu. Ona sama wkońcu przeraziła się swego głosu. Widocznie się aż do tego stopnia zapomniała. Inne dzieci spojrzały na Anielkę ze zdziwieniem:

— Kto cię tego nauczył?... Przecież raz tylko mówił to pan nauczyciel!

Wszyscy dnia tego pod silnem wrażeniem poszli do domu i odtąd inaczej patrzyli na Anielkę.

Anielka tymczasem dalej odwiedzała co wie-

czór Magdzie. Tylko w towarzystwie przyjaciółki naprawdę dobrze się czuła.

— Przyszłaś wreszcie! — witała ją codziennie Magdzia zdławionym głosem. Przezroczyście wychudła dłoń wyciągały się do Anielki, a blada twarzyczka jaśniała uśmiechem. — Wiesz znowu coś nowego? — pytała. — Opowiedz mi! Przy cały dzień cieszyłam się myślą o tem.

I Anielka zaczynała opowiadać... Najprzód powtórzyła jej raz jeszcze ów piękny wiersz o murzynce, a potem własnymi słowami opowiadała o czarnych niewolnikach, którzy z dnia na dzień walczą o swobodę, o odrobinę słońca, o błękit nieba. Podczas tego opowiadania Magdzia leżała cichutko ze złożonymi na piersiach rękami i z oczami przymkniętymi. Gdy czarna kobieta oddawała swemu mężowi dzieciątko i zanosila modlitwę do Boga, po policzkach Anielki i Magdzi spływały łzy, łzy najgłębszej radości.

Anielka zawsze po takim wieczorze szła do domu, jak ktoś, kto przeżył coś bardzo pięknego. Magdzia również długo po jej wyjściu leżała, nie mogąc zasnąć. Przed oczami jej wyobraźni przesuwaly się obrazy opowiadanych przez Anielkę historyj i Magdzia radowała się niemi i była szczęśliwa. Tylko, gdy nadchodził kaszel, znowu wszystko tonęło w mrokach, oddalało się i ciemniało. Magdzia musiała walczyć o odrobinę tchu. Ale potem znowu wszystko było dobrze... Nazajutrz przychodziła Anielka, przychodziła tak co wieczór, poświęcając przyjaciółce każdą wolną chwilę.

Magdzia codziennie rano po przebudzeniu była

Już uradowana na myśl o odwiedzinach Anielki.

— Matko, jeszcze tylko cztery godziny, — mówiła często w ciszy południa. — Jeszcze tylko dwie... Matko za godzinę Anielka do mnie przyjdzie.

Choćby dzień był dla Magdzi najbardziej nieprzyjemny, zazwyczaj pod wieczór oczy jej jaśniały radosnym blaskiem, a policzki się rumieniły.

— Jak na wiosnę ojciec przyjedzie, to mu opowiem o Anielce, — planowała, — na wiosnę, gdy będzie znowu ciepło i kwiaty zakwitną. Tak, na wiosnę!

Święta.

Do wiosny było jeszcze daleko, bardzo daleko, bo przecież ziemia pragnęła odpocząć po uciążliwej pracy całego lata. Śnieg ciągle padał, wiatr wędrował po dolinie, a dni były krótkie i chmurne. Aż pewnego dnia, jak co roku, ujrzano pomarszczoną staruszkę, brnącą w śniegu i dźwigającą wielki kosz pierników, orzechów i cukierków, które po wszystkich domach roznosiła. Ta stara kobiątka, z dokładnością zegarka zwiastowała ludziom co roku, że Boże Narodzenie się zbliża. Gdziekolwiek wchodziła, wszędzie twarze poczynaly jaśnieć radością, wszędzie witano ją serdecznie. Boże Narodzenie! Czyż było ono istotnie tak blisko? Zwiastunka Świąt wędrowała niestrudzenie po wsi, zachwalając swe słodycze. Znali ją wszyscy, wszyscy ją witali, wszyscy z uśmiechem spoglądali na jej wielką kieszeń w szerokiej spódnicy, która przy każdym ruchu obijała się o nogi i śmiesznie porzękiwała. Czy jednak każda matka kupowała coś od pomarszczonej staruszki dla swych dzieci?

A kto w Wielkiej Wsi był zwiastunką Bożego Narodzenia? Oczywiście, stara Zuzanna, wdowa po rudym Hieronimie! Przez cały rok widziano ją albo na ławce przed domem, albo na polu przy robocie. Nikt się nią specjalnie wtedy nie interesował. Dopiero w okresie świąt Bożego Narodzenia z Zuzanną działo się coś dziwnego. Spoglądano na nią z zaciekawieniem, gdy ze swym wielkim koszem chodziła od domu do domu, wnosząc wszędzie, do wszystkich izb, nawet najuboższych, tę upojną woń świąteczną, tę promienną nieziemską radość. Tak samo, jak jasny błękit nieba jest zapowiedzią dnia pogodnego, tak stara Zuzanna, dla dorosłych i dzieci była zapowiedzią radości. Teraz przestawała ona być tą codzienną Zuzanną, wdową po rudym Hieronimie, stawała się osobą niemal we wsi najważniejszą i najserdeczniej przez wszystkich witaną. Była przecież zwiastunką świąt, była zwiastunką lepszych, przyjemniejszych czasów.

Gdy tylko wchodziła, dzieciarnia obstępowała ją dokoła! Stara Zuzanna wyjmowała ze swego kosza pierniki, cukierki i orzechy, a zaraz po jej wyjściu poczęto mleko zlewać do wielkich dzbanów, nasypywać mąkę do niecek i we wszystkich kuchniach stały już gospodynie z zawiniętymi rękawami, gniotąc zawzięcie ciasto. Kielbasy, szynki, pierniki, jabłka i inne smaczne rzeczy były już na święta przygotowane. Laleczki z pierników z oczami z różowego lukru, spoglądały z samego wierzchołka świeżutkiej choinki na dzieci krzątające się po domu; cała wieś się radowała. Radość tę wraz ze wszystkimi mieszkańcami wsi, podzielały również

Anielka i Magdzia. Boże Narodzenie! Ze wszystkich kątów pachniało świętem.

A gdy wieczór zapadał i mroki spowijały ubieloną śniegiem ziemię, z komórki swej wychodził Wojtek, poczynając obnosić po domach swe nowe arcydzieła. W tym roku pokazywał Wojtek dzieciom śmiejącego się pajaca, który skakał za każdym pociągnięciem sznurka. Zarówno dzieci, jak i dorośli przyglądali się Wojtkowemu pajacowi z ciekawością i śmieli się z jego sztuczek do łez. Sam Wojtek uradowany, jak dziecko wędrował znów do innej chaty, i tak od drzwi do drzwi, od domu domu. Gdy już w którejś chacie napatrzono i namśmiano się do syta, Wojtek lokował z powrotem swego pajaca w pudełku i szedł dalej.

— Skoro Wojtek po wsi chodzi i dziwy ludziom pokazuje, to święta już blisko, — mówiono. — Przecież tak było co roku, więc i teraz nie może być inaczej.

I rzeczywiście! Pewnego wieczoru radośnie zadźwięczały kościelne dzwony, które tylko były tak radośnie wówczas, gdy zwiastowały Boże Narodzenie. W chatach ludzie zasiedli w blasku świeczek choinkowych, z rękami skrzyżowanymi na piersiach i nucili cicho.

— Cicha noc, święta noc...

Anielka także świętami się radowała. Babcia nawet dostrzegła, że tego wieczoru oczy Anielki świeciły, jak dwie jasne gwiazdy. Zresztą już od kilku tygodni Anielka była jakaś dziwna. Skąd ta radość? Przecież nawet ze szkoły musiała wystąpić, bo trzeba było cały dzień pracować w fabry-

ce. Anielka jednak widocznie nie była tem zmartwiona, bo nic na ten temat nie mówiła. Na święta zapragnęła tylko zatrzymać sobie z wypłaty jedną, jedyną złotówkę i o to właśnie poprosiła matkę. Łzy nabiegły jej do oczu, gdy srebrną złotówkę uczuła we własnej dłoni. Z całej rodziny tylko babcia te łzy dostrzegła. Co to miało znaczyć?

Gdy nadszedł ostatni dzień lekcji i starsi uczniowie przynosili nauczycielowi, jak co roku, drobne podarunki, Anielka z błyszczącym wzrokiem podała panu Barwiczowi swoją złotówkę.

— To na biednych murzynów, — szepnęła nieśmiało.

Tak samo jak inne dzieci, otrzymała i Anielka upominek od nauczyciela. Był to nowy, czerwony ołówek, który Anielka natychmiast po powrocie do domu, troskliwie zawinęła w watę i schowała do drewnianego malowanego pudełka, które było podarunkiem świątecznym od Wojtka. Wieczorem pobiegła do Magdzi i podzieliła się z nią rozpierającą jej serce radością.

Sylwester.

Wieś drzemała, tuląc się do pagórka, na którym stał kościół i nie zwracając uwagi na to, że białe płaty śniegu coraz grubiej pokrywają jej dachy. Tylko stara wieża kościelna budziła się od czasu do czasu, wskazując na zegarze godziny i zasypiając znowu. A śnieg padał dalej...

Gdy zegar kościelny wybił trzecią godzinę poranną, ostatni ton dobył się z zegara nieco chrapliwie. W ośnieżonych chatach wsi tu i tam zapłonęło światelko. Czyżby zegar zasnął? Co się stało? I nagle otwarły się drzwi jednej chaty, potem drugiej i trzeciej. Latarnie migotać poczęły w powietrzu, jak błędne ogniki. W ciszy nocnej zaszemrały głosy.

- Jesteście wszyscy?
- Uważaj na mój tort!
- My także tort mamy!
- Ach, pokaż, tylko prędko!

Latarnie wzniosły się w górę. W migotliwym blasku stara wieża kościelna spojrzała z góry na

cztery głowy wzięte, pochylone nad świeżo upieczonym tortem.

— Dzisiaj majster napewno nie będzie mi wymyślał, — chwaliła się Gieńka. — Tort kosztował złotego i pięćdziesiąt groszy. Majster powinien być zadowolony!

— Mój także się bardzo udał, — dorzucił ktoś nieśmiało.

— Nasz też jest piękny! — zabrzmiały radosne głosiki Anielki i Basi.

— Ach!... Na pamiątkę! — przeczytał Jakób Brzózka zdziwionym głosem.

Zapakowano torty z powrotem, podniesiono z ziemi latarnie i blask ich począł poruszać się teraz nad drogą, biegnącą w stronę przędzalni! Sylwester! Sylwester! szemrały sennie wiejskie chaty. Dzisiaj sylwester!

Och! Ocknęła się znowu wieża kościelna, więc to dlatego! Ostatni dzień roku. Aha! Spojrzała wieża na cichy cmentarzyk w dole i wspomniała tych, którzy w ciągu zeszłego roku na wieczny spoczynek zostali tu złożeni. Wspomniała i tych, którzy narodzić się mieli, których powitać miał dzwon noworoczny. Wieża kościelna знаła wszystkich mieszkańców wsi, uśpionych teraz pod ośnieżonemi dachami. Dzisiaj pragnęła rozzwonić się znowu dzwonem radości i szczęścia, dzwonem nowych nadziei. Dzisiaj specjalnie tym dzwonom ludzie przysłuchiwać się będą, dzisiaj specjalnie pomyślą o życiu, które już przeszło i o tem, które ich czeka.

Głośno i wyraźnie obwieściła wieża kościelna czwartą poranną godzinę i zdrzemnęła się znowu

pod ciepłą kołderką ze śniegu, znowu tylko na jedną krótką godzinę.

Tam w dole, w przedzalni płonęło światło, jakby ustępowanie starego roku nie przeszkadzało w pracy. Światło płonęło! Nawet w dzień Sylwestra trzeba pracować! Ale dzisiaj ta praca była całkiem inna, spełniano ją tylko jako coś pobocznego. Dzisiaj ludzie pragnęli się śmiać, żartować i śpiewać. Nie napróżno był Sylwester!

Anielka i Basia przystroiły wysoki stółek swego majstra czerwonymi płonącymi różami z bibułki. Na poprzecznej desce maszyny ustawiły tort, przybrany figielkami z cukru. Jasnowłosa Gieńka napisała jeszcze karteczkę, którą położyła na swoim torcie.

— Z powinszowaniem Nowego Roku, — przeczytał Heniek kulawego skrzypka i wybuchnął głośnym śmiechem.

Wogóle w sali fabrycznej panowała wesołość.

Gdy wreszcie majstrowie się ukazali, jeden za drugim, poczęli się uśmiechać, dziękować i sadowić się na swych stołkach przybranych bibułkowymi różami; Anielka miała nawet wrażenie, że pożółkła twarz jej majstra była dzisiaj jakaś jaśniejsza, jakaś przyjazna nawet. Tak, istotnie! Majster śmiał się i żartował z robotnikami. I podczas, gdy maszyny warkotały, a robotnicy nucili zcicha, majster również poruszać począł wargami i przyłączył się do pieśni, jak ptak, zmęczony długotrwałą zimą. Anielka nie mogła wzroku od niego oderwać. Takie to wszystko dookoła było dziwne. Czyż to była ta sama fabryka, co wczoraj i przedwczoraj?

Dzisiaj, nawet Anielka czuła się w fabryce doskonale!

Gdy szklaneczki z taniutkiem winem poczęły krążyć dokoła, gdy majstrowie darowali swym małym pomocnikom i pomocnicom placuszki jajeczne, Anielka stuknęła się swoją szklanką z Heńkiem kulawego skrzyпка. Wszystko złe, wszystkie przykrości ustępującego roku zostały w tej chwili zapomniane.

— Na szczęście! — rozbrzmiewało po obszer-nych salach fabrycznych. — Na szczęście i zdrowie!

Popołudniu do wnętrza fabryki przedarł się dźwięk tak dobrze znanych dzwoneczków kołędni-ków wędrownych. Już podczas przerwy obiadowej widziały dzieci tradycyjnego Mikołaja w czapce z dzwoneczkami i osła w długim białym prześcieradle. Osioł gonił nawet Basię, gdy szła z obia-
du do fabryki. Jeszcze teraz Basia śmiała się, opowiadając o tej przygodzie dzieciom. Znowu w sali fabrycznej dosłyszano dźwięk dzwoneczków, ze wszystkich okolic ściągali kołędnicy. Ale dzisiaj robota w fabryce miała się skończyć o godzinę wcześniej! Dzieci będą miały dość czasu, aby się kołędnikom dokładnie przyjrzeć. Nadomiar wszyst-kiego w fabryce dzisiaj była wypłata i serca dzieci rozpie-rała radość na samą myśl o tem.

Cichutkim szmerem rozniosła się po sali fa-
brycznej wiadomość, że kto przez cały czas dobrze spełniał swą pracę, dziś w dniu Sylwestra, obda-
rowany zostanie przez majstra nagrodę. Anielka i Basia przez cały niemal dzień przyglądały się swemu majstrowi, a gdy wreszcie pod koniec pra-

cy wsunął rękę do kieszeni, obydwie zarumieniły się mimowoli. I słusznie! Nie myliły się dziewczynki. Maszyny ucichły już przed chwilą i polyskiwały znowu jakby wyczyszczone lusterka, nagle majster podszedł do Basi i Anielki i przed każdą z nich położył po złotówce.

— Dziękuję pięknie! Dziękuję ślicznie! — jąkały dziewczynki, wybiegając z sali i śpiesząc po wypłatę do kantoru.

Gdy Anielka mijiała chatę Kacpra Gałązki, ujrzała w oknie babcię, która na nią poczęła kiwać. Aha, babcia napewno piecze piernik u Gałązków.

Ach, i jaki piernik! W całej okolicy żadna gospodyni nie potrafiła upiec takiego piernika, jak żona Kacpra Gałązki! Z nadejściem Bożego Narodzenia i Sylwestra, Kacprowa odkładała wszelką inną robotę i zabierała się do pieczenia pierników. Ludzie poprostu dziwili się i kiwali głowami. Skąd Kacprowa potrafiła wyczyniać takie cuda? To też co roku o tej porze u Gałązków zbierało się mnóstwo sąsiadów i sąsiadek. Gawędzono, zażywano tabakę i opowiadano sobie ploteczki. Kacprowa co pewien czas wyjmowała jakiś piernik z pieca, a jeden od drugiego był ładniejszy i jeden od drugiego bardziej rumiany. A jak smakowały te pierniki, poprostu trudno było mówić o tem, bo sama ślinka do ust nabiegała. Nic dziwnego, że ludzie ściągali do Kacprowej z całej doliny, aby pozwoliła im u siebie upiec tradycyjny piernik.

Gdy Anielka weszła do izby, Kacprowa zdjęła z komina wielki dzbanek z kawą i postawiła go

przed babcią na stole. Kawę też u Kacprowej można było pić przez cały dzień bezustanku.

Kacprowa śmiała się wesoło, napełniając kawą duże gliniane kubki :

— Tak, tak, jeszcze matka nieboszczka mi opowiadała, że podobno kiedyś przed kościołem był tak zwany pręgierz. Karano tam ludzi za rozmaite przewinienia. Karę tę spełniał stary Matysiak, który stał przed kościołem, uzbrojony w grubą dyscyplinę. Ha, ha, ha! I dzisiaj by się nam to przydało!

W tej chwili Kacper Gałązka pociągnął tak duży łyk kawy, że zachłysnął się i począł kaszleć. Po kawie Kacprowie z babcią rozmawiali jeszcze chwilę, poczem zażyli tabaki i Kacper serdecznie zwrócił się do babci.

— Niech Bóg da, żebyście nam długo żyli, żebyście mogli pracować i byli zdrowi!

Obydwoje z żoną odprowadzili później babcię wraz z Anielką do samych drzwi.

Anielka zjadła już prawie połowę swego jajecznego placka, zanim przyszła do domu. Dzisiaj nie należało oszczędzać, dzisiaj należało jeść to wszystko, czego się przez cały rok nie jadło. Dzisiaj można było nawet psocić i nikt z dorosłych się nie gniewał. Korzystał z tego brat Anielki Stefek, dokuczając dziewczynce podczas kolacji, śmiejąc się i co chwilę zabierając jej orzechy z fartuszka, dzięki czemu Anielka bardzo się gniewała i prosto kolacji dokończyć nie mogła. Placek orzechowy smakował nadzwyczajnie. Anielka wzięła już drugi kawałek, a Amelka sięgnęła po trzeci,

a przecież z pieca wyjmowano coraz to nowe smakołyki, na widok których dzieciom oczy błyszczały.

Gdy Anielka wróciła ze swych odwiedzin u Magdzi, pokazała rodzeństwu ogromnego dziadka piernikowego o oczach z rodzenek, lecz schowała go zaraz do fartuszka uradowana. Dziadka tego dostała Anielka od Magdzi. Matka poczęła teraz ze skrzyni wyjmować orzechy i cukierki. Przyszli wujostwo z sąsiedniej wsi. Wuj siedział na głównem miejscu przy stole i trącał się napelnioną jabłecznikiem szklaneczką z wujenką:

— Na szczęście, Lodka, żeby nam się dobrze działo!

Powitali serdecznie wchodzącą właśnie babcię, poczem zaczęli z nią gawędzić i śmiać się, podczas gdy dzieci śpiewały jedną pieśń po drugiej. Dzieciarnia stanowczo była już zmęczona; zgromadziły się dzieciaki dokoła pieca i czuły, że oczy im same się zamykają.

— Znowu rok minął i już nie wróci... — słychać było w izbie narzekania.

Matka kazała dzieciom pójść spać.

Gdy o północy zadzwieczyły dzwony z wieży kościelnej, Anielce i jej rodzeństwu wolno było znowu na chwilę zejść do kuchni. Senne i napół tylko ubrane dzieci przysłuchiwały się wraz z dorosłymi dźwiękowi dzwonów. Wreszcie wybiła godzina dwunasta. Stary Rok umarł, Nowy się narodził! Srebrzystym głosikiem zadzwieczyły dzwoneczki, młodziutki, wyraźne i radosne. Dzieci słuchały ich i wierzyły mocno w to szczęście, które im No-

wy Rok ze sobą przyniesie. Tylko matka pochyliła głowę na piersi i rzekła przynębionym głosem :
— Nowy Rok napewno nie przyniesie nam nic dobrego !

Przy matce stała babcia, słuchając dzwonu, którego dźwięk tylko ona rozumiała. Złożyła ręce i wyszeptwała cicho :

— Jestem gotowa !

A gdy dzwony umilkły, przed chatą nagle coś ożyło. Za oknem kuchni ukazał się Wojtek i zawołał :

— Życzę wam wszystkiego dobrego, szczęścia, zdrowia i pomyślności w tym Nowym Roku, abyście długo żyli w zdrowiu i błogosławieństwie bożem i aby wam się spełniło wszystko, czego pragniecie !

Na twarzach wszystkich pojawił się uśmiech, uścisnęli spracowaną dłoń Wojtka, życząc mu nawzajem wszystkiego najlepszego. I te same życzenia rozbrzmiały we wszystkich izbach i śmiano się długo i gawędzono, aż wreszcie powieki wieśniakom ciężać poczęły, w chatach poczęły powoli gaśnąć światła i wszystko w całej wsi zatoneło w głębokim śnie.

Życie gaśnie.

Pełna tajemniczego oczekiwania wstąpiła Anielka w płynące powoli dni Nowego Roku, z sercem wierzącym i płonącym nadzieją. Z jakim rozczarowaniem jednak patrzyła na świat, gdy zamiast radości, Rok Nowy przyniósł jej same zmartwienia.

Było to w pierwszy czwartek po świętach. Uczniom i uczenicom wiejskiej szkoły ukazał się obcy, całkiem nowy nauczyciel, który miał zastępować pana Barwicza. Wyjaśnił, że pozostanie tu aż do lata, bowiem pan Barwicz przewrócił się i złamał nogę. Zupełnie tak, jakby dzieci nic o tem nie wiedziały! Przecież w ostatnich dniach o niczem innym w całej wsi nie mówiono! Nauczyciel chory! Takie nieszczęście! Kto będzie śpiewał teraz z uczniami podczas czwartkowych wieczorów? Kto będzie grał na organach w niedzielę w kościele? A przecież za dwa tygodnie w szkole miało się odbyć przedstawienie amatorskie! Jak się to wszystko ułoży bez nauczyciela? Jedyłą nadzieją był dla dzieci ten nowy, który miał zastępować w szkole pana Bar-

wicza. Ódrazu jednak zastępca nie spodobał się uczniom, jak zresztą nie spodobał się również dorosłym mieszkańcom wsi. Za firankami we wszystkich oknach stały kobiety, kiwając z niezadowoleniem głowami, gdy nauczyciel szedł przez wieś. Żeby miał tak trochę więcej energii i żeby uśmiechnął się choć na chwilę, może wówczas byłby całkiem nie najgorszy, ale tak...

Najbardziej rozczarowani byli sami uczniowie. Anielka czekała napróżno tych godzin, kiedy pod wpływem opowiadania nauczyciela o całym świecie się zapomina. Ale takich godzin już więcej nie było. Nauczyciel wprawdzie mówił o wielu rzeczach, lecz żaden z uczniów tego wszystkiego nie mógł sobie wyobrazić. Prostu nauczyciel mówił nieciekawie. To też godziny szkolnych lekcyj, poczęły się dłużyć i wydawały się uczniom wiekiem...

Anielce zostały jeszcze tylko wieczory spędzane u Magdzi. Uczepiła się myśli o tych wieczorach, jakby się chciała upić tą jedyną swoją radością. Ale, gdy raz czytała Magdzi jakąś piękną opowieść, Magdzia nagle tak zaczęła kaszleć, że omal się nie zadusiła. Od tego wieczoru prawie zawsze spała, gdy Anielka stęskniona przybiegała do niej.

— Magdziu, — zwróciła się do niej błagalnie pewnego razu, — otwórz wreszcie oczy, miałam taki piękny sen i chciałabym ci go opowiedzieć.

A gdy Magdzia otworzyła na chwilę oczy błyszczące gorączką, Anielka zwróciła się do niej z zapalem:

— Pomyśl, Magdziu, śniło mi się, że obydwie

mogłyśmy fruwać, ty i ja! Spójrz, poruszałyśmy tak ramionami i fruwałyśmy w powietrzu, jedna przy drugiej. Poleciałyśmy razem do pięknej krainy. Powiadam ci, było tam mnóstwo kolorowych ptaków i kwiatów, wszędzie kwiaty dokoła. Leciałyśmy bardzo wolniutko, a było szalenie gorąco i pięknie... Potem znalazłyśmy się na wierzchołku góry i usiadłyśmy na łące. Nagle zjawił się przed nami majster i zaczął krzyczeć, że już najwyższy czas, żebyśmy poszły do fabryki. Myśmy jednak nie poszły, tylko pofrunęłyśmy. Majster szeroko otworzył oczy ze zdziwienia, bo on przecież nie umiał fruwać. Biedak, nie wiedział nawet, jak to się robi. Nie masz pojęcia, Magdziu, jaki to był piękny sen! Pofrunęłyśmy do słońca, coraz wyżej i wyżej... spójrz, o tak... tak...

Anielka wstała i ze wzrokiem utkwionym w przestrzeni, niby we śnie, poczęła poruszać ramionami.

— Magdziu, — wyszeptła po chwili, — powiedz, czy chciałabyś...

Ale Magdzia milczała. Z bladym uśmiechem na wychudłej twarzy leżała na pościeli, a oczy miała zamknięte.

Wówczas Anielkę opanował przemożny strach.

— Magdziu! — zawołała. — Dobrej nocy, Magdziu! — i zwróciła się ku drzwiom, a potem raz jeszcze: — Magdziu... dobranoc... Magdziu...

Zdawało się Anielce, że istotnie ma skrzydła u ramion, ale w ostatniej chwili skrzydła obwisły i nie mogła ich już rozpostrzeć. Gdy wróciła do domu, matka spojrzała na nią z niezadowolaniem.

Zabroniła jej surowo tak często odwiedzać Magdzię.

— Przecież Magdzia jest śmiertelnie chora, — mówiła, — a ty musisz być zdrowa.

Wówczas radość i słońce przygasły w duszyczce Anielki. Dopiero dzisiaj zorjentowała się, że matka miała słuszność. Ale wobec tego, co jej więcej w życiu zostało?

Dni i tygodnie, które mijały, były dla Anielki jedną szarą pustką. Szła do fabryki, spełniała swoją pracę i wracała do domu, jak automat. Swoją potężną kromkę chleba przeważnie przynosiła z powrotem do domu. Oczy Anielki przygasły, z policzków zniknął rumieniec. Przez kilka dni dzieci nie mogły przychodzić na obiad do domu, bo coraz większy śnieg padał. Anielka nawet herbaty nie piła, którą sobie z domu zabierała, nie jadła również chleba z konfiturami, którym ją zawsze częstowała Kasia Stelmachówna. Raz nawet, gdy wieczorem wracała do domu, musiała na chwilę usiąść i wkrótce była cała biała od śniegu. Na szczęście Wojtek szedł tą samą drogą i zmusił Anielkę, aby razem z nim poszła. Jakże się jednak zdziwił, gdy ujrzał wyraz jej oczu. Ten bolesny wyraz zapadł głęboko do serca Wojtkowi. Kto mógłby temu dziecku pomóc?

Gdy cała wieś szykowała się do Zapustów, Anielka zupełnie nie brała w tem udziału, spoglądając na wszystkich roześmianych ludzi bez odrobiny zaciekawienia. Tym razem w dniu Zapustów, wywieziono na wózku Kacpra Gałązkę. Stary Tomasz przygrywał na skrzypeczkach, wszyscy śpiewali i wesoło jechał orszak zapustny przez wieś.

— Aniela wymknęła się ukradkiem do Magdzi; stanęła pod oknem, zajrzała, a potem weszła do izby.

— Teraz już niedługo ojciec przyjedzie i zabierze mnie z sobą, — szeptała Magdzia z szeroko otwartymi oczami. — Ty musisz też ze mną jechać, Anieliu, bez ciebie nie pojedę. Pytałaś już mamę, czy ci pozwoli?

Żona grubego szewca dała Anieli znak. Aniela skinęła głową potakująco. Na twarzyczce Magdzi odmalowała się radość.

Potem Aniela wracała do domu i przez całą drogę gorzko płakała. Jakże pragnęła wszystko zmienić, cały świat odwrócić do góry nogami! Ze łzami w oczach zasnęła. Śniła o Magdzi, o Magdzi zdrowej i wesołej, a gdy rano wstała, sięgnęła po ołówek i kawałek papieru, długo coś pisała, przekreślała, odczytywała i pisała na nowo.

Od tego dnia co wieczór Aniela kryła się w jakimś ustronnym kącie i pisała, gdy nikt nie widział. A gdy wiersz był już gotowy, przepisała go dużymi literami na arkusz białego czystego papieru i przeczytała samej sobie głośno:

„Do Magdzi!
Gdy pomyślę o kwiecie twoich lat,
Które mijają w chorobie i bólu,
Jakżebym chętnie sama ból ten zniosła,
Choć jestem zdrowa, silna i wesoła.
Ale, gdy wszyscy cię opuszczą,
To ja o tobie nigdy nie zapomnę.
Pamiętaj, że w największym cierpieniu,

Jest przy tobie Bóg, który cię kocha
i samej nie zostawi.
Westchnij do Boga, aby zamieszkał w twem
sercu,
Westchnij, aby cię zabrał jak najprędzej
do siebie.
Ja grób twój będę stroiła kwiatami,
Zasadzę na nim śnieżne róże i bławatki,
I podlewać je będę codzien własnymi łzami.

Jak wielką świętość, nosiła Anielka ten wiersz
zawsze przy sobie. Gdy w mrokach nocy wracała
do domu, powtarzała słowa wiersza, aż wreszcie
łzy nabiegały jej do oczu i swobodnie mogła się
wyplakać.

Pewnego wieczoru Anielka wracała z fabryki
z Romkiem Zawadą i deklamowała mu swój wiersz.

— Z pewnością tego sama nie napisałaś, mu-
siałaś skądś przepisać, — zaśmiał się Romek i w ża-
den sposób nie dał się przekonać. Wówczas Aniel-
ka uklękła na białym śniegu i z ręką wzniesioną
w górę, przysięgła, że wiersz ten napisała sama.
Romek dopiero teraz uwierzył. I już w zupełnem
milczeniu obydwoje wrócili do domu.

Wyzwolenie.

Gdy pierwsze wiosenne kwiaty zakwitły, biedną Magdzię złożono na cmentarzu. Ci, którzy ją po śmierci widzieli, dziwili się, że na twarzyczce Magdzi jaśniał wciąż jeszcze pełen szczęśliwości uśmiech. Skąd to pochodziło? Przecież Magdzi w życiu nie działo się tak dobrze! Może uśmiechała się do białych kwiatków, które jej w zaciśnięte ręce wetknęto? Nikomu na te pytania Magdzia nie dała odpowiedzi, a jednak uśmiechu tego ludzie przez dłuższy czas zapomnieć nie mogli. Ciągle o tem myśleli i ciągle mówili. Wspaniała miała pogrzeb Magdzia. Wszyscy koledzy i koleżanki z fabryki pragnęli odprowadzić ją na miejsce wiecznego spoczynku, przyszli więc wszyscy, popłakali i odeszli. Anielka również była, jednakże od śmierci Magdzi dom grubego szewca wydał jej się nagle obcy i pusty.

Po tym dniu, Anielka chodziła do fabryki i wracała z niej, jakby senna i nieprzytomna. Gdy spotykała kogoś podrodze, szeptała coś niewyraźnie

I szybko oddalała się. Zaraz pierwszej niedzieli urwała świeżych kwiatów na łące, aby je zanieść na mogile Magdzi. Gdzież miała zanosić kwiaty, skoro jedyna istota, którą naprawdę kochała, właśnie tutaj, w tej mogile spoczywała. Siadywała więc Anielka godzinami całemi na cmentarzu, słuchała śpiewu ptasząt, spoglądała na mknące po niebie chmurki, a serduszko jej przepełniało się coraz bardziej niewypowiedzianym bólem. I zdarzało się, że sięgała znowu po ołówek, pisała, przekreślała, przyomykała oczy i znowu pisała. Często wyciągała przed siebie ramiona, jakby chciała cały świat chwycić w objęcia, ale wkrótce ramiona opadały ku dołowi, a w duszy zrodzona na chwilę nadzieja, przygasala.

Często godzinami całemi stała Anielka przy parkanie, za którym pasły się stada owiec pana ze dworu. Wkrótce owce się ostrzyże, a potem owczarze zawiozą wełnę daleko w świat, daleko, daleko do wielkiego miasta. Stary Hieronim też teraz był owczarzem, to też Anielka przyglądała mu się zazdrośnie, później wzdychała i szła znowu do domu. Była śmiertelnie zmęczona.

Lecz stało się coś, co niby błyskawica oświeśliło utajony ból Anielki. Od pewnego czasu babcia domyślała się, że Anielka po nocach spać nie może i słyszała wyraźnie, jak dziewczynka w nocy schodziła po schodach. Dwa, czy trzy razy babcia wstała nawet, wyjrzała do sieni, lecz nikogo nie widziała. Wreszcie pewnego razu, a było to podczas gwieździstej wiosennej nocy, babcia zdecydowała się zejść nadół. Czyżby zapomnieli drzwi wej-

sciowe zamknąć? Jakto? Przecież były otwarte na-
oścież. Babcia stanęła w progu i wyrzała. Przed
domem w blasku księżycy dostrzegła nagle Anielkę,
ubraną zupełnie, wznosząc ramiona ku niebu
i szepczącą jakieś niewyraźne słowa. Twarzyczka
dziewczynki była blada, a ręce jej drżały. W piersi
babci serce zamarło z przerażenia.

— Anielciu! Anielciu!—zawołała. Potem obu-
dziła matkę i obydwieabrały przerażoną dziew-
czynkę na górę.

Mała lampeczka w izbie babci płonęła tej
nocy aż do rana. Na krawędzi łóżka staruszki sie-
działa matka Anielki, słuchając tego, co babcia
mówiła i nie mogąc pojąć, dlaczego Anielka tak
źle się czuje w fabryce. To wszystko było zbyt
trudne do zrozumienia. Ale tym razem babcia się
upierała.

— Nie pójdzie tam więcej, — mówiła, — tę-
sknota ją na węgiel spali. Musimy dziecku pomóc.
To byłby grzech, Basiu, śmiertelny grzech.

Z bolesnym wyrazem twarzy wstała babcia na-
zajutrz, ubrała się odświętnie i poszła do właściciela
fabryki. Długo trwała ta rozmowa. Najprzód
słychać było podniesiony głos męski, a potem już
tylko cichszy, drżący niego głos babci, wyrzucający
z siebie potok wyraźnych słów. I przyszło zrozu-
mienie na starego srogiego pana, rozumiał, że
Anielka jest inna, niż wszystkie dziewczynki i przy-
znał babci słuszność. Jeżeli Anielka nie chce dalej
pracować w fabryce, to on, właściciel fabryki nie
ma zamiaru w niczem jej przeszkadzać. Niech so-
bie Anielka szuka innego zajęcia.

Triumfująca, lecz zmęczona wróciła babcia po tej rozmowie do domu. Parę kwiatków zerwała po drodze, lecz kolana ugiwały się pod nią... Była to jej ostatnia wyprawa.

Tego samego wieczoru, kiedy ojciec Magdzi wraz ze swą żoną przyjechał do wsi, babcia przywołała Anielkę do swego łóżka.

— Anielciu, — rzekła, ściskając w swych pomarszczonych dłoniach drobne ręce dziewczynki, — od przyszłego miesiąca nie będziesz już chodzić do fabryki. Matka się zgodziła i właściciel fabryki również. Teraz trzeba coś poszukać dla ciebie.

Policzki Anielki poczęły się powoli rumienić, a oczy jej zabłysły.

— Babciu! — zawołała z głębi serca radośnie, ukryła twarz w kołdrze staruszki, i śmiała się, i płakała, i głaskała ręce babki, nie mogąc uwierzyć, że to wszystko było prawdą.

Od tego wieczoru w sercu starej kobiety pozostał jasny płomień radości. Płomień ten przyświecał jej podczas ostatnich przedśmiertnych godzin. Nikt nie widział, jak umierała, ale gdy matka Anielki pewnego ranka weszła do izby, dostrzegła spłoszoną jaskółkę, która na jej widok prędko wyfrunęła przez okno. Babcia leżała cicho i spokojnie na swoim łóżku. Oczy jej były zamknięte nazawsze.

Wolność.

Zaledwie pochowano babcię, już nowa wieś poczęła obiegać po wsi i oczy wszystkich mieszkańców rozblęły ciekawością.

Anielka Lipkówna przestała pracować w fabryce! Henryk Rymarz, ojciec Magdzi, chce ją zabrać z sobą do Ameryki. Henryk Rymarz, który dopiero z Ameryki przyjechał! Mieszkał teraz na wzgórku ze swoją obcą, nikomu nieznaną żoną. Wszyscy ją już widzieli. Nosiła jasne suknie i prawie codziennie jeździła do sąsiedniej wsi na osie. Na mogile Magdzi uroniła jedną łzę, a Henryk Rymarz zarówno mogiłę swej matki, jak i swej córeczki kazał ogrodzić żywopłotem, jak się grodzi mogiły tylko bardzo bogatych ludzi.

Z tego powodu cała wieś w niedzielę udała się na cmentarz. Każdy miał coś do opowiadania o Henryku Rymarzu, który do rodzinnej wsi wrócił. Henryk Rymarz stał się teraz panem, z którego należało być dumnym! Mimo to jednak, dumy tej nie obnosił wśród mieszkańców rodzinnej wsi i wszyscy go zato szanowali. Biedny człowiek, trzeba niezszczęścia, że w rodzinnej wiosce nie zastał już ani

matki, ani swego dziecka. Dobrze byłoby Magdзі, gdyby żyła jeszcze, a i starej Franciszkowej syn zaoszczędziłby wszelkich trosk na ostatnich lat parę. Co tam mówić, Henrykowi też w pierwszych latach w Ameryce nie powodziło się tak nadzwyczajnie. Dlatego pewno nie pisał. Teraz jednak ma własną, pięknie urządzonej piekarnię, teraz pieniędzy ma, jak lodu. Tak, temu się udało! W Ameryce łatwo człowiekowi zdobyć majątek! Henryk Rymarz napewno wkrótce będzie bardzo bogatym człowiekiem. Szkoda tylko, że Magdzia się tak zmarnowała. Może, gdyby jej do fabryki nie posyłano, nie umarłaby tak młodo.

I nagle ludziom zebranym na cmentarzu przywidziało się, że i oni zawinili pod pewnym względem w stosunku do Henryka Rymarza. Przecież właściwie w ostatnich latach nikt się nie interesował Magdzą. Nikt się również o nią nie troszczył, gdy zachorowała. Z niepokojem jedni spoglądali na drugich, jedni drugich zdawali się nakłaniać do zabrania głosu... Ach, tak! Henryk Rymarz chciał zabrać do Ameryki Anielkę Lipkównę, dać jej swoje nazwisko i jak własną córkę wychowywać. Przecież Anielka była jedyną przyjaciółką Magdzy. Tak, tak, Anielka Lipkówna przychodziła do niej codziennie, wszyscy o tem wiedzieli. Zebrani na cmentarzu ludzie odetchnęli swobodniej. A u grubego zewca też znowu Magdzy tak źle nie było. Opiekowano się nią i pielęgnowano w chorobie.

I kto by się tego spodziewał, że Henryk Rymarz zechce zabrać z sobą Anielkę! Dzieciaka czekało nadzwyczajne szczęście, mimo to jednak Bar-

bara Lipkowa nie mogła się na to zdecydować, nie chciała Anielce na wyjazd pozwolić. Stanowczo źle robiła. Dlaczego zabraniała dziecku, które mogło być bogate i szczęśliwe?...

Nagła stara Zuzanna potrzęsnęła swoją siwą głową.

— Przecież my nie wiemy, co dziecku da szczęście, — rzekła. — Jeżeli Henryk Rymarz ma tyle pieniędzy, to niech je tutaj przyśle i niech nie zabiera prawowitej matce dziecka. Barbara Lipkowa kocha swoje dzieci, wiecie o tem wszyscy. Na coś podobnego nieboszczka babka teżby nie pozwoliła. Zresztą pani doktorowa znalazła już dla Anielci dobre miejsce w mieście. Tam chociaż będzie można pojechać i przekonać się, czy dziewczyna ma dobrze. Zresztą, powiem wam, że pieniąż nie zapewnia długotrwałego szczęścia, nieprawdaż?

Kobiety poczęły kiwać głowami, myśląc o własnych dzieciach i spoglądając na ciche mogiły, na których zasadzone krzewy zdawały się wznosić ramiona ku wieży kościelnej.

Tego samego wieczoru, gdy na cmentarzu zapanowała już cisza, Anielka otworzyła skrzypiącą furtkę cmentarną i weszła. W oczach jej błyszczała zbudzona wiosna.

— Dla babci... dla Magdzi... — szepnęła i na wilgotnej ziemi położyła dwie wiązanki świeżego kwiecia.

Potem stała przez chwilę bez ruchu, przysłuchując się zamierającemu w oddali śpiewowi ptaszar i uczuła nagle, że bardzo kocha swą rodzinną wioskę. Jednocześnie jednak w serduszk jej zro-

działa się tęsknota za wędrownką. Za tydzień, już tylko za siedem dni, Anielka pojedzie w świat. Czy to możliwe? Ale nie pojedzie do Ameryki, matka ma słuszość. Przecież za pierwszym razem nie trzeba było tak daleko jechać. Pozatem Anielka nigdyby nie chciała zostać córką Henryka Rymarza. Nie chciałaby zmienić nazwiska, pragnie nazawsze zostać Anielką Lipkówną z Wielkiej Wsi. Później, może później pojedzie do Ameryki, jak już pozna ten świat szeroki, którego dotychczas nigdy nie widziała.

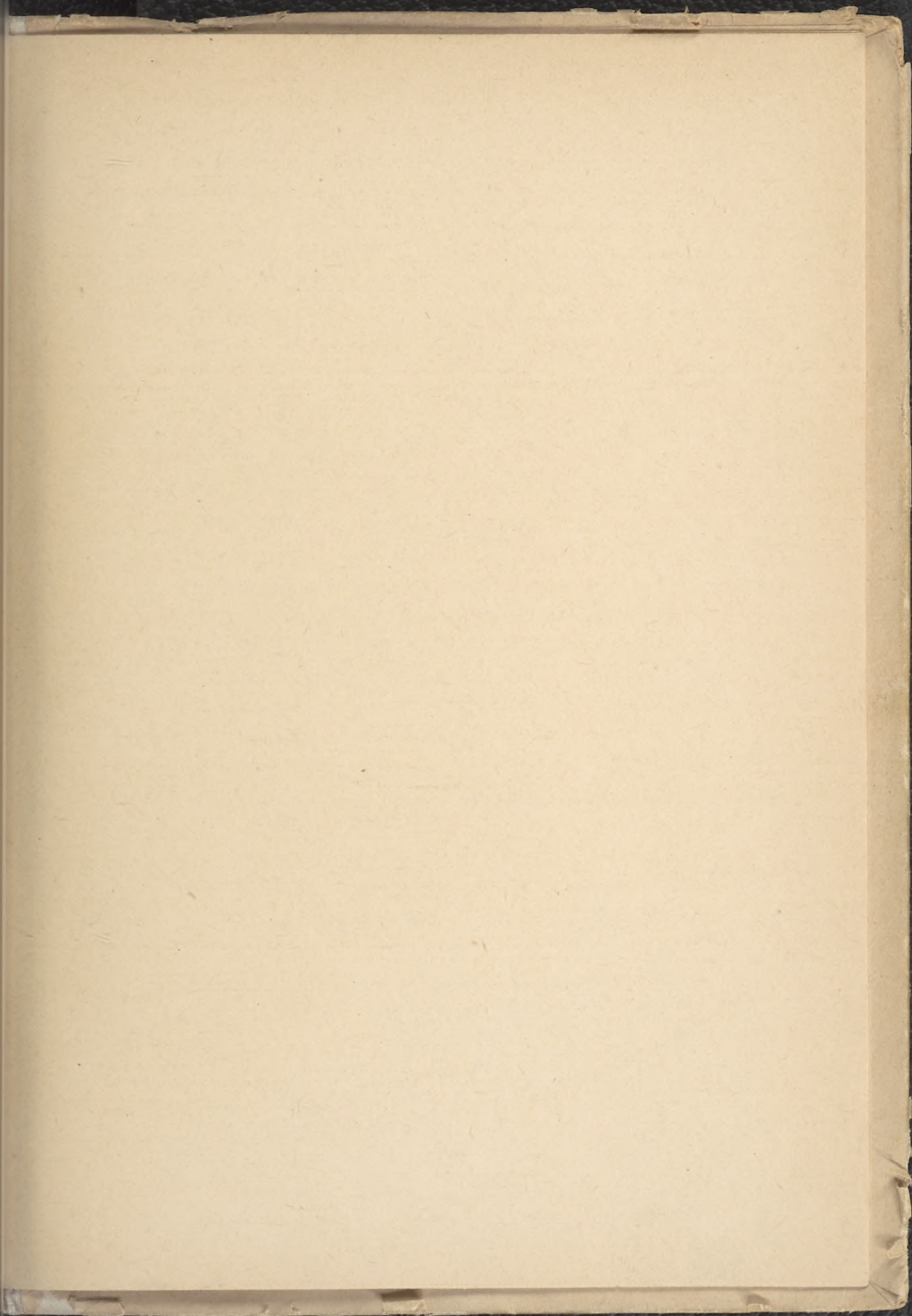
I zdawało się Anielce, że zarówno babcia, jak i Magdzia, spoczywające w chłodnych mogiłach, czują w tej chwili tak samo i odetchnęła z ulgą, a świat cały nagle rozśłonecznił się przed nią.

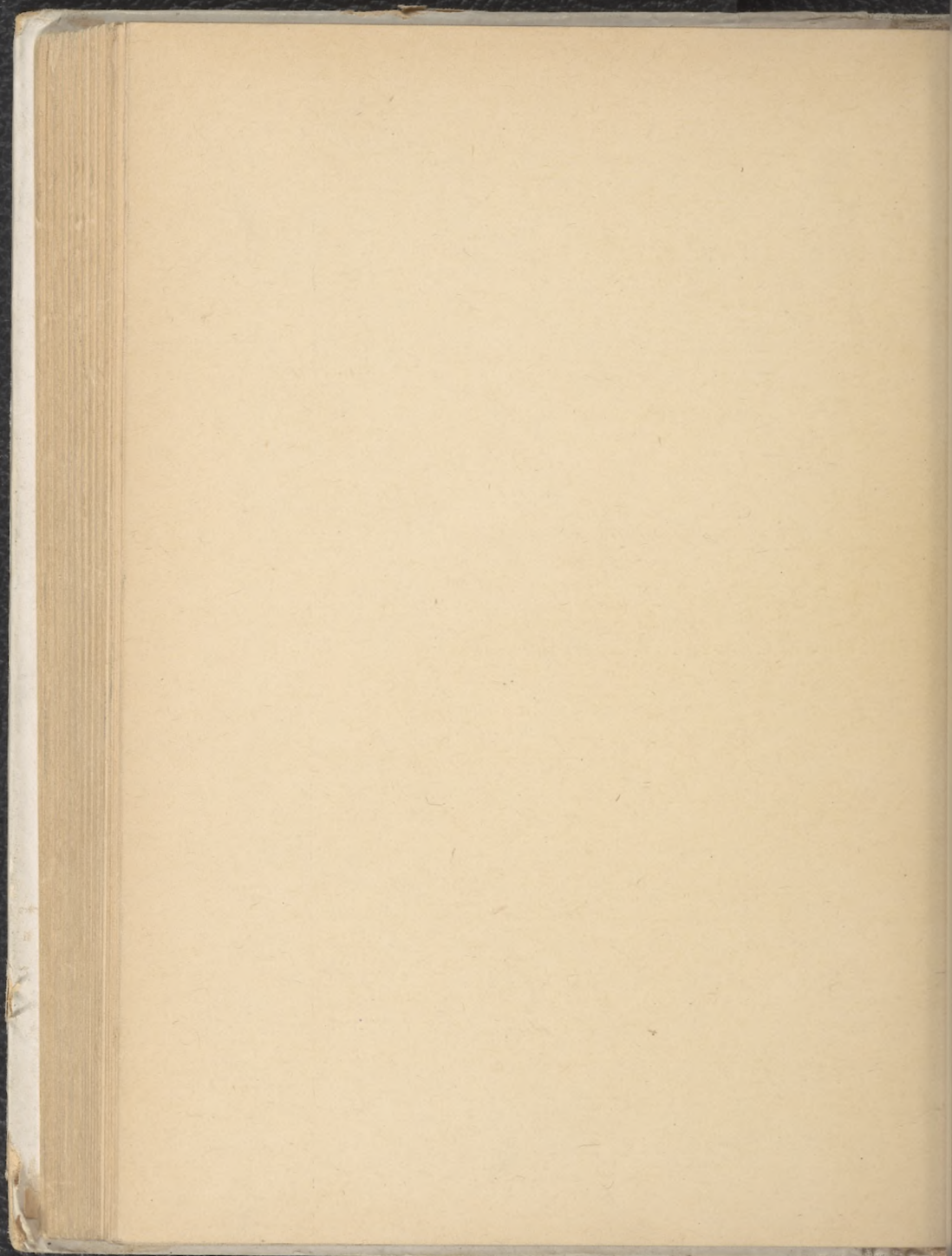
— Przyjdę tu znowu, — wyszeptwała, oglądając się ciągle, zanim opuściła cmentarz. — Śpijcie spokojnie! Śpij spokojnie babciu! Śpij spokojnie Magdziu!

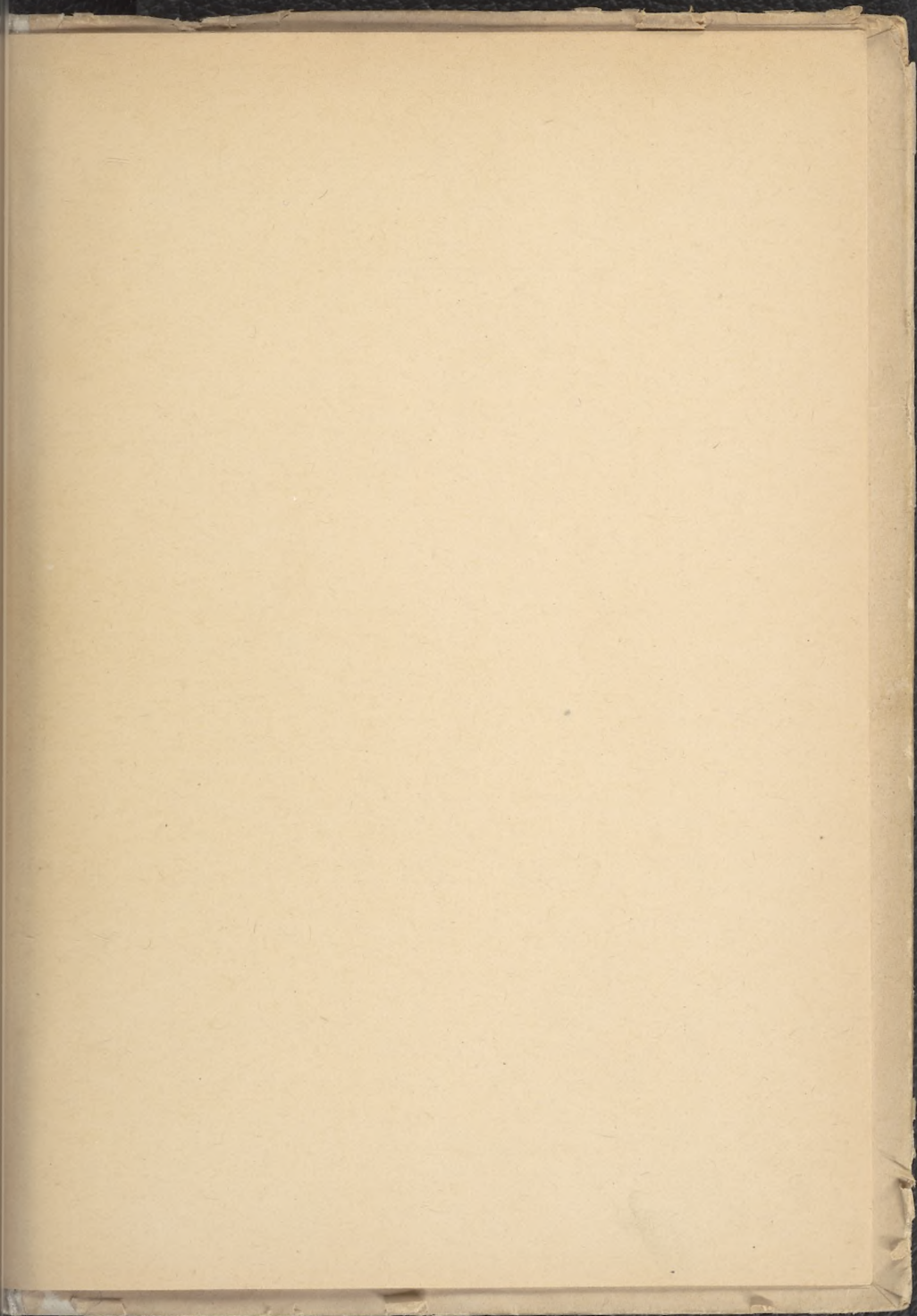
A gdy wreszcie nadszedł upragniony dzień i Anielka z dużą torbą podróżną znalazła się w wagonie, żegnając matkę i rodzeństwo, opanował ją na chwilę jakiś strach i serce mocniej zabiło. POCO to wszystko robiła? Dokąd chciała jechać? Lecz, gdy pociąg ruszył z miejsca i powoli mijał tonącą w zieleni dolinę, serce Anielki uspokoiło się. Niby świeży kwiat, rozkwitła w jej duszy radość. Wyjeżdża wreszcie. Była wolna i mogła wyciągnąć ramiona ku słońcu!... A co ją czeka?

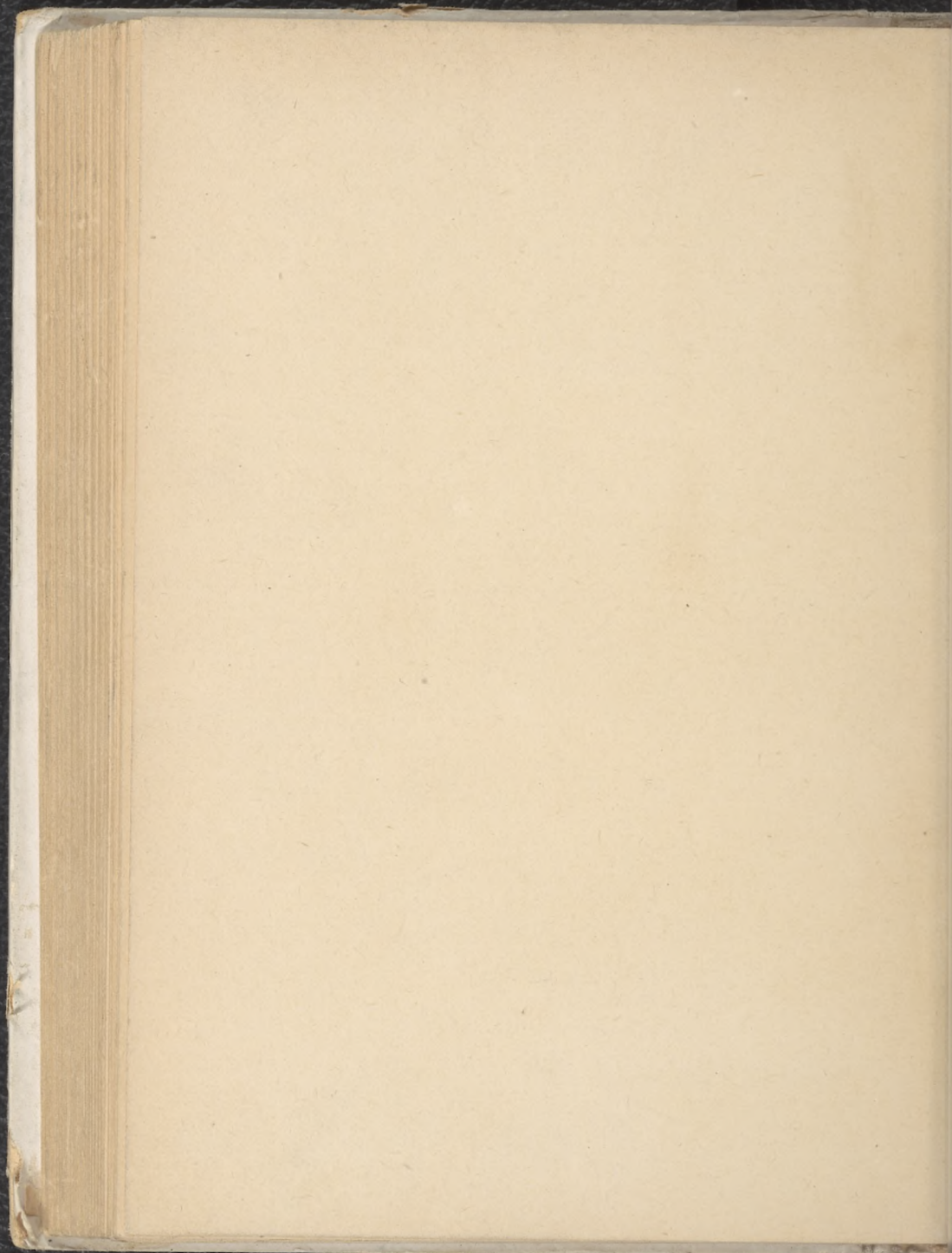
K O N I E C











31/w/00/111

451 - A

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001021701991

Dasa Alvicum
14. 12. 2000 Warszawa
27451



1472582
